◆ JERZY PUTRAMENT: Notatki o Oświęcimiu ◆ MIROSŁAW ŻUŁAWSKI: Na południu ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja Daszyńskiego 18
Administracja Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 6 czerwca 1948 r.

Nr 23 (184)

ANANIASZ ZAJĄCZKOWSKI

ŚMIERĆ ORIENTALISTY

Tadeusz Kowalski

„Kiedy bez mała wszyscy przedstawiciele różnych działów nauki omawiają bardziej lub mniej pilne potrzeby swej specjalności, nie potrzebując przy tym rozwodzić się nad sprawą uznania jej praw obywatelstwa w Polsce, to rola moja, jako jednego z nielicznych o r i e n t a l i s t ó w polskich, jest zgoła inna. Nie o potrzebach orientalistyki w Polsce bowiem, ale o p o t r z e b i e o r i e n t a l i s t y k i w Polsce, o konieczności żywszego zainteresowania się tym zaniedbanym działem nauki u nas mówić mi wypada".

Tymi słowy, przed trzydziestu laty, rozpoczął swój artykuł o orientalistyce profesor Tadeusz Kowalski w „Nauce Polskiej". I gdy dziś, w kilka zaledwie tygodni po jego zgonie, wspominam tak żywą dla mnie postać uczonego, nie przychodzi mi na myśl inne zdanie Zmarłego, które by tak dokładnie charakteryzowało jego postawę wobec zagadnień nauki. Wiele bowiem można by napisać o ś. p. Tadeuszu Kowalskim — był on przecież świetnym, uznanym przez naukę międzynarodową uczonym, pedagogiem, wytrawnym badaczem i komentatorem tekstów, doskonałym organizatorem i kierownikiem nie tylko małych grup jak np. Polskie Towarzystwo Orientalistyczne, lecz tak wielkich zespołów jak Polska Akademia Umiejętności, której był sekretarzem generalnym. Ale gdyby się chciało jednym słowem określić charakter zainteresowań naukowych Tadeusza Kowalskiego, zdefiniować całą jego działalność w największym skrócie, trzeba by użyć wyrazu, który wymieniłem w tytule tego wspomnienia — o r i e n t a l i s t a.

Odkąd występuje na terenie życia naukowego w Polsce odrodzonej od r. 1918, najżarliwiej zabiera głos w obronie praw dla umiłowanej gałęzi wiedzy. Bez przesady, bez patosu, którego nie znosił, bez frazesów, które zawsze tępił, a jednak, pełen prawdziwego entuzjazmu dla odkryć naukowych i postępu wiedzy, umiał uzasadnić potrzebę rozwoju studiów orientalistycznych. Zawsze podkreśla, że badanie kultur Orientu, to rozszerzenie horyzontu myśli ludzkiej. „Odkrycia dokonane na Wschodzie — pisał prof. Tadeusz Kowalski — rozszerzyły nasz horyzont dziejowy w takiej mierze, jak się to dotychczas nigdy jeszcze nie zdarzyło, a co można by śmiało postawić w jednym rzędzie z rozszerzeniem widnokręgu geograficznego przez odkrycie Ameryki..."

Stąd słuszne wskazania na przyszłość, stąd postulaty rozbudowy orientalistyki w kraju. Tadeusz Kowalski walczy skutecznie z płyciznę i zacofaniem, które za godne nauki uważa tylko to, co bezpośrednio dotyczy „spraw polskich". Piętnuje powierzchowne sądy — które nieraz słyszało się w dawnej Polsce sprzed 30 lat, a które zagadnienia naukowe, wykraczające poza terytorium europejskie, obdarzały „na wpół pogardliwym mianem egzotyczności". — „I dziwić się nieraz wypada — w słusznym oburzeniu woła autor — jak ten sam badacz, który z cierpliwością godną naśladowania preparować będzie najcieńsze włókna na uprzywilejowanym obszarze badania, przetnie bez żadnych skrupułów związki z sąsiednimi obszarami, choćby one były mocne jak lina okrętowa, byleby tylko nie dać się zaprowadzić „za daleko", a już, broń Boże, nie zabrnąć w żadne egzotyczne krainy".

Wywody swe kończy autor zdaniem, które tak trafnie określa stosunek tego humanisty wobec problemów wiedzy ludzkiej. „Cała kula jest pokryta mniej lub więcej widoczną, mocno poplątaną siecią związków i żyje j e d n y m ż y c i e m c a ł e j l u d z k o ś c i".

✤

To szerokie spojrzenie na świat, uniwersalizm naukowy — rzec by można — wcale nie świadczy o dyletantyzmie. Ś. p. Tadeusz Kowalski był mu daleki jak mało kto. Zdaje przecież sobie sprawę z ogromu zadań, stawianych przez orientalistykę, sam pisze o terminie „orientalistyka" jako o terminie zbiorowym, o bardzo szerokim zakresie, obejmującym wielki kompleks nauk, „których dziś żaden, choćby najgenialniejszy człowiek nie zdoła nawet powierzchownie ogarnąć, a tym mniej zgłębić". Na wybranym jednak odcinku orientalistycznym panował niepodzielnie. A odcinek był niemały, obejmował cały Wschód Muzułmański, łączący — z grubsza biorąc — trzy grupy etniczno-językowe: arabsko - semicką, persko-irańską i turecko-ałtajską. Każdej z tych grup Tadeusz Kowalski poświęcił cenne prace i długie lata badań. Jego puścizna ogłoszona drukiem wynosi ponad 200 pozycyj. Oczywiście nie sposób całości omówić. Chciałbym pokrótce tylko zwrócić uwagę na kilka ważniejszych prac z dziedziny jego orientalistycznych zainteresowań.

Ostrogi naukowca zdobył Tadeusz Kowalski pracą habilitacyjną (wydaną w r. 1914) z zakresu poezji staroarabskiej, publikując „dywan", czyli zbiór poezji Medyneńczyka Kajsa ibn al-Hatima z przełomu VI—VII wieku. Studium poezji staroarabskiej pozwala odtworzyć dokładnie obraz życia koczowniczych Semitów na terytorium Arabii z okresu poprzedzającego wystąpienie Mohammeda, a w ten sposób naświetla warunki, w których powstał Islam. Poematy arabskie, czyli tzw. kasydy, stanowią pod względem formalnym dość luźnie powiązany zbiór wierszy o ustalonych wątkach tematycznych, jak np. „Wspomnienie śladów obozowiska", opis rączej wielbłądzicy, pochwała czy szyderstwo. Temat nie jest ważny, o wartości decyduje forma. Arabowie nazywają poezję „nazm", czyli nizaniem na sznur pereł. Badanie poematów arabskich związane jest z dużymi trudnościami. Potrzeba niezwykłego opanowania przedmiotu, znajomości realiów i głębokiej intuicji, by zrozumieć treść poematu. Niech mi wolno będzie tu przytoczyć jedno — choć nieco przydługie — zdanie z pracy znakomitego orientalisty Józefa Sękowskiego sprzed stu lat, które tak wiernie oddaje nastroje, jakie wywoływała poezja arabska u ówczesnych romantyków doby mickiewiczowskiej.

„Bezkresna pustynia o rozpalonym, ruchomym piasku, zmieniającym powierzchnię na kształt oceanu; jej skały, głazy, potoki, z rzadka krzewy i jeszcze rzadsze zielone oazy cieniste; jej stali mieszkańcy— lwy, lamparty, hieny, wilki, antylopy, kozice, urocze gazele, trwożliwe strusie, złowrogie kruki; słońce płonące żarem nad tą pustynią, powietrze kipiące, napełnione ognistymi igłami, pląsającymi przed oślepionym wzrokiem, magiczne mamienie mirażu; obłoki białe, bezwodne, suche jak ziemia, i chmurki przynoszące deszcz, którego „każda kropla równa się łasce", słowem różnorakie i różnobarwne obłoki — zjawiska tak zwyczajne dla człowieka północy, i tak ważne dla syna pustyni, zawsze spragnionego i śledzącego z najwyższą uwagą za każdą drobiną oparów na niebie — z tym bowiem łączy swe nadzieje i zwątpienie; i wśród tej strasznej przyrody c z ł o w i e k, obozowisko, koczowanie, niesnaski rodowe, wojny, wyniszczenie; człowiek najczęściej głodny, ze swą miłością, zemstą, dumą, ze swą nędzą i sławą, ze wszystkimi namiętnościami i cnotami: człowiek, który wyrusza sam jeden na pustynię, aby walczyć z napotykanymi **farysami** tylko po to, by wsławić i rozgłosić swe imię; jego cierpienia i trudy, jego klęski i pieśni, jego koń — wierny towarzysz, cierpliwie dzielący z nim nędzną dolę, jego wielbłąd — drugi jego przyjaciel, którego ubóstwia i składa na jego cześć poematy; wreszcie samotny grób tego człowieka na pustyni, i kości śmiałka porozrzucane na gorącym piasku — takie są w najkrótszym zarysie główne realia tej zadziwiającej poezji, której nie sposób porównać do żadnej innej na świecie!".

Czyż zdziwi nas, że takie akcesoria przez ówczesnych romantyków z początku XIX wieku uważane były za zjawisko wyjątkowo oryginalne, że pieśni arabskie, prawdziwe „carmina non prius audita", porywały swą siłą, nowością i pięknem? Tej właśnie oryginalności, tej „romantyczności", o której jeszcze Schlegel pisał „Im Orient müssen wir das höchst Romantische suchen", — zawdzięczać należy powstanie takich poematów mickiewiczowskich, jak Farys czy Szanfara.

Kowalskiego od Sękowskiego dzieliły dobre dwa pokolenia. Toteż całkiem inaczej, choć z jednakowym może pietyzmem — podszedł do studium poezji arabskiej młody orientalista polski w początku XX stulecia. Czasy się zresztą zmieniły nie tylko dla literatury. Wiedza orientalistyczna w dobie mickiewiczowskiej była dopiero w powijakach. Gdy wypadło tworzyć Kowalskiemu, w tym czasie były już wypracowane ścisłe kanony wiedzy filologicznej, był bogaty aparat krytyczny — toteż autor swym wzorowym wydaniem tekstu, komentarzem i przekładem, zdobył uznanie sfer naukowych w Europie.

Tadeusz Kowalski wkrótce dowiódł, że umie nie tylko analizować, ale i tworzyć syntezy. W pięknej rozprawie, pisanej po polsku (praca habilitacyjna ukazała się po niemiecku), pt. „Poezja staroarabska", wnikliwie scharakteryzował twórczość Arabów doby przedmuzułmańskiej, tłumacząc jak spostrzegawczość przeniesiona w dziedzinę poezji stworzyła jedną z naczelnych jej cech „absolutną przewagę o b s e r w a c j i nad f a n t a z j ą". Jakże odbiega ten sąd od zdania cytowanego epigona romantyków. Kowalski był nie tylko humanistą, miał też gruntowne przygotowanie przyrodnicze i może to właśnie pozwoliło mu na tak trzeźwą ocenę poezji arabskiej. Rozumiał arabskiego poetę, który „zaobserwował żabie kijanki i rośliny wodne w kałużach, uwagi jego nie uszedł ślad mrówek na wydmie piaszczystej, zauważył drobną siateczkę na oczach szarańczy i zachował ją wiernie w pamięci, tak że porównanie z nią nasuwa mu się mimo woli przy opisie siatki drucianej pancerza..."

Studiów nad poezją staroarabską Kowalski nigdy nie poniechał. Pozostał wierny pierwszej „miłości" naukowej, dosłownie do śmierci. Przez trzydzieści bowiem lat pracował nad drugim „dywanem", poety Kaba ibn Zuhajra, wsławionego odą na cześć proroka Islamu.

„Zaiste prorok jest mieczem, światłu niecącym, indyjskim, Wśród mieczy Allaha, z pochwy dobytym..."

Tradycja arabska przekazuje, że w tym miejscu, ujęty słowami recytacji, Mohammed zdjął z siebie płaszcz i okrył nim poetę. Zazdrosny los chciał, że właśnie ta praca, dzieło życia profesora, ukaże się dopiero po jego śmierci...

Na drugą z kolei grupę zagadnień związanych z filologią Wschodu Muzułmańskiego składa się czynnik etniczno-językowy turecki. I ten temat, obejmujący języki i folklor ludów tureckich, w szerokim zakresie opracował Tadeusz Kowalski. Już pod koniec pierwszej wojny światowej zajął się badaniem tekstów folklorystycznych. Dialektologia turecka była dopiero w zalążku. W samej Turcji nie rozumiano jeszcze wagi tego problemu. Toteż pierwszymi badaczami na tym polu byli uczeni europejscy. Wśród nich jedno z czołowych miejsc zajął nasz profesor. Zbierał teksty gwarowe naprzód w szpitalach austriackich, wśród rannych żołnierzy tureckich. W wyniku tych badań ukazały się nakładem Polskiej Akademii Umiejętności dwie prace: „Zagadki ludowe tureckie" (1919) i „Ze studiów nad formą poezji ludów tureckich" (1922). W latach późniejszych T. Kowalski odbył kilka podróży naukowych do Turcji, docierając w głąb Azji Mniejszej. Bogaty materiał, zebrany w czasie licznych wypraw do Anatolii, nie został całkowicie wydany, ale pozwolił profesorowi opracować rozprawę językoznawczą o dialektach anatolijsko-tureckich, która się ukazała w najpoważniejszej publikacji orientalistycznej, tzw. Encyklopedii Islamu, w Holandii w kilku wydaniach obcojęzycznych (m. in. po francusku i angielsku).

Z innych dialektów tureckich interesował się nasz uczony głównie grupą narzeczy kipczackich, w szczególności zabytkiem Połowców z XIII wieku, tzw. kodeksem kumańskim, oraz żywym językiem Karaimów w Polsce.

Wreszcie i trzeci dział Wschodu Muzułmańskiego nie pozostał mu obcy. Kultura irańska legła w gruzy wraz z imperium Sasanidów w VII w. pod naporem zwycięskiego pochodu wojującego półksiężyca. Ale ledwie zelżał nacisk arabski, już przytłumione tradycje perskie „zaczęły się budzić z uśpienia i przebijać przez namulisko islamu, tak jak trawa odżywa na wiosnę po ustąpieniu śniegów". Tak doszło do zespolenia kultury muzułmańskiej z czynnikami perskimi. Persowie wszak wydali wielkiego epika Firdausiego w X w., czarującego filozofa i poetę Omara Chajjama, moralistę Saadiego, liryka Hafiza i wielu innych.

Dwom pierwszym z wymienionych tu poetów perskich poświęcił nasz profesor wiele lat studiów. Uznawał jedynie bezpośredni sąd o dziełach sztuki czy kultury, oparty na długim i wnikliwym obcowaniu z tekstem oryginalnym. Jak pracował, niech zaświadczy mały przykład. Gdy miał napisać wstęp do przekładu Czterowierszy, tzw. *Rubaija'* Omara Chajjama, przez A. Gawrońskiego, ponownie przeczytał kilkaset utworów poety, przerobił olbrzymią obcojęzyczną literaturę naukową z tego zakresu (szczególnie do zagadnienia autentyczności niektórych czterowierszy), naprawdę zżył się z poetą perskim, zrozumiał jego filozofię życiową i wówczas dopiero powstała praca o Omarze Chajjamie, która, oczywiście, znacznie przekroczyła ramy zamierzonego wstępu do przekładu Gawrońskiego i ukazała się jako osobna rozprawa w „Przeglądzie Współczesnym", a później w szkicach „Na szlakach Islamu" (1935).

Studia nad eposem Firdausiego, wielotomową księgą „Królewską", *Szah-mame*, wypełniły sześć lat wojennych. Dzieło o tym pomniku literatury światowej pozostało w rękopisie i powinno czym prędzej ujrzeć światło dzienne. Będzie cennym wkładem do skarbnicy piśmiennictwa narodowego. Z imieniem tego poety perskiego łączy się w życiu profesora mały, choć niewątpliwy zawód, który boleśnie odczuł. Gdy w r. 1934 cały świat cywilizowany obchodził tysiąclecie Firdausiego, ówczesny rząd polski wysłał na uroczystości w Teheranie nie orientalistę, lecz... generała Karnuszkiewicza, prezesa Towarzystwa Polsko - Perskiego w Warszawie. Na Zjazd w Persji przybyli najwybitniejsi iraniści europejscy (ze Związku Radzieckiego prof. Bertels, z Czechosłowacji prof. J. Rypka, z Anglii Denison Ross itd.) i można sobie łatwo wyobrazić, jaką sensację wśród reprezentantów nauki (i jakie komentarze) wywołał mundur generalski polskiego delegata! Wspomina zresztą o tym szczególe prof. Jan Rypka w najnowszej swej książce o podróży do Persji („*Iransky poutnik*", Praha 1946).

W ten sposób jedyna okazja wyjazdu do Persji, jaka się nadarzała orientaliście polskiemu, ominęła go niezasłużenie. Krajów arabskich też nie zwiedził profesor. Jedynym obszarem orientalnym, który znał z własnego doświadczenia, była Turcja, a przecież nie był to tylko gabinetowy uczony, nie uchylał się od obowiązków, jakie przynosiło życie. Tak więc po podróży odbytej do Turcji w r. 1924 napisał książkę o „Turcji powojennej", przedstawiając barwnie i żywo przewrót, jaki się dokonał za Kemala w Turcji.

Wszystko, cokolwiek wyszło spod jego pióra, było jasne, logiczne, pięknie opracowane, słowem, w najwyższym stopniu *rzetelne*. Nie pisał łatwo ani szybko. Przeciwnie, prace swe często poprawiał, przepisywał, doskonalił, wygładzał. A kiedy już doszedł do wniosku, że rzecz dojrzała do druku, były to naprawdę perły toczone...

Czyż krótka notatka zdoła objąć wszystkie tematy z jego bogatego dorobku naukowego? „Sprawa zapożyczeń tureckich w języku polskim", „Gospodarcze znaczenie europeizacji Wschodu", „Charakterystyka twórczości arabskiej", „O Turkach bałkańskich", „Wyrazy kipczackie w języku Ormian polskich" — oto kilka tylko — dorywczo wybranych — tytułów rozpraw T. Kowalskiego. Po wojnie już, w r. 1946, wydaje „Relację Ibrahima ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich" w Pomnikach Dziejowych Polski. Księgę tę, stojącą na najwyższym poziomie techniki edytorskiej, historycy powitali z żywym uznaniem.

✤

Jeśli przeznaczeniem uczonego jest istotnie bolesna przygoda — o czym pisał niedawno Jan Parandowski we wspomnieniu o innym filologu, Jerzym Kowalskim — to i nasz orientalista miał taką „przygodę", związaną z dziejami edycji poematów arabskich Kaba ibn Zuhajra. Trzydzieści blisko lat czekał rękopis na wydanie, przygotowywane z niezwykłą starannością i dokładnością filologiczną. To już bez mała ćwierćwiecze dzieli mnie — proszę darować to osobiste

(Dokończenie na str. 2)

WITOLD WIRPSZA

O DUCHU PRAW NOWYCH

I

Nie plusk wody, ani zakręty rzeki, ani nawet
jej otwarta i równa wstęga —
choćby się w niej ludzka myśl o gwiazdach odbijała,
albo pojęcie odblysku zieleni,
albo myśl o wiecznym przemijaniu życia ludzi i pokoleń
albo senność zmęczonych —
ten obraz rzeki, powiadam, nie stanie się dla mnie nigdy
przenośnią ducha praw.

Przemijanie jest bowiem prawem kopca mrówek lub termitów,
których kłębowisko nigdy nie miało swojej historii,
gdzie muzyka przenika jedynie na promieniu ludzkiego wzroku
i którego sens odkrywa zdziwienie człowieka.

Ludzka myśl o gwiazdach przybiera postać równania matematycznego,
zmiennego, jak dokładność przyrządów.
Odblysk zieleni utrwala się najpierw w naszej siatkówce,
a ręce utrwalają go w barwach żółtych, złotych, czerwonych lub brunatnych
według zmienności serca lub umysłu,

i tak powstaje w oczach naszych obraz biegacza, przemierzającego
krajobraz różny: poprzez piach i koce żwiru,
miękką murawę i grunt podmokły,
poprzez skały i ich żar,
poprzez skały i ich zlodowacenie,
drogą prostą i drogą stromą.

Krok jego wydłuża się i skraca,
ubiór staje się obfitszy lub lżejszy aż do całkowitej nagości,
wzrok twardnieje z wysiłku lub mruży się z rozkoszy,
a serce i umysł, jak działa wysmukłe,
noszą w sobie pocisk prawa.

II

Dziś, gdy właśnie poezja nauczyła mnie mówić rzeczy proste
wprost — i gdy nie przecinek jest ważny, a słowo,
a od słowa ważniejsza myśl,
właśnie dziś będę mówił o duchu praw,
których nauczyło mnie ujście Odry, rozbita Warszawa,
nowy słup graniczny i czołg,
zawalidroga milczący, rdzewiejące wspomnienie wojny
o przestrzelonym sercu i zwisającej lufie.
Takie czołgi znajdziesz już tylko na ziemi,
na której wielu maszynom wypruto wnętrzności,
aby osamotnić ręce ludzkie.

Najpierwsze jest prawo ciążenia, nieludzkie jeszcze.
Patrz, tu nad brzegiem rzeki, gdzie właśnie przybija
niewielki stateczek, jeszcze rok temu było słońce,
gruz i drobne jak przecinki grzbiety jaszczurek.
Wiedz, że istnieje prawo zniszczonej konstrukcji żelaznej,
które wyraża się ciężarem żelaza, ciężarem zadania
i milczeniem, pożerającym wszystko wokół: mewy,
nietoperze, rośliny, owady, resztki marmuru i strzępy ubrania.

Drugie jest prawo nadziei i sprawiedliwego podziału dóbr.
To jest prawo ludzkie, przed którym śmierć się cofa
i owo milczenie śmiertelne. To ono przetapia zbutwiałe żelazo

w nowe konstrukcje i tworzy państwa, gdzie siła
jest na jego usługach, a praca ludzk przeczy myśli o przemijaniu.
Jeśli spojrzysz po raz drugi na brzeg rzeki, ujrzysz
podpływający inny statek: to dźwig. Wyciąga swe ramię
i zgrzyt puszczonej w ruch maszyny spłoszy mewy
i jaszczurki, pierzchające we wszystkich kierunkach.
Wielkie to prawo!

Jeszcze większe jest prawo trzecie: miłości i pokoju.

III

Ludzka myśl przybiera postać równania,
wyrażającego troskę o człowieka,
zmienną według zmienności serc lub umysłów,
noszących w sobie pociski miłości i prawdy.
I tak biegacz nigdy nie dotrze do celu,
bowiem krajobraz będzie się zmieniał,
ze skał wytryśnie woda,
z pustyni wystrzelą palmy i wybuchną drzewa figowe,
a wzrok jego z godziny na godzinę stawać się będzie
spokojniejszy: wyzbędzie się lęku

według ducha praw nowych.

1069.K.1948.
AKADEMIA LEKARSKA W KRAKOWIE

ZYGMUNT MYCIELSKI

Sprawa Skiwskiego i towarzyszy

17 czerwca rozpocznie się w Krakowie proces dr. Józefa Bühlera, któremu przewodniczyć będzie sędzia Sądu Najwyższego, dr Elmer. Bühler był w niemieckim rządzie Generalnego Gubernatorstwa sekretarzem stanu, czyli kanclerzem rządu G. G., co można porównać ze stanowiskiem premiera, jako że całość administracji i gospodarki G. G. była mu podległa.

Z racji tej akta procesu, znajdujące się obecnie w Krakowie, urosły do 138 grubych tomów. Akta te, podobnie jak akta procesu norymberskiego, należało by przetłumaczyć i opublikować. Z nich bowiem możemy dopiero poznać, na podstawie dokumentów autentycznych, całość mechanizmu zamiarów i metod niemieckich.

Literaci i dziennikarze nasi opierają się przeważnie, gdy chodzi o czasy okupacyjne, na własnych przeżyciach lub na opowiadaniach i świadectwach tych, którzy przetrwali Oświęcim, ghetto czy powstanie warszawskie. Dopiero akta niemieckie odsłaniają całość systemu, w którym — jak powiada Hofman w posłowiu do książki pt. „Zburzenie Warszawy" — „Aktion" oznaczało mordowanie, „durchkämmen" — zabijanie, a „Arbeitseinsatz" — niewolnictwo.

Prokuratorzy Sawicki i Cyprian, którzy są oskarżycielami w mającym się odbyć procesie Bühlera, pozwolili mi wglądnąć w dokumenty, dotyczące sprawy Jana Emila Skiwskiego. Dzięki temu mogę się podzielić z czytelnikami „Odrodzenia" ciekawymi dowodami bodajże jedynego w Polsce przykładu kolaboracji.

Nie wahałem się przystąpić do tego tematu, uważam bowiem, że w kraju, w którym nie było Quislinga ani Pétaina, gdzie Skiwski i Burdecki, to jedyny tak kompromitujący przykład kolaboracji, akta ujawnione dziś — jako zupełnie wyjątkowe — świadczą tylko o naszej wobec wroga postawie. Można i trzeba wskazać palcem na to, co jest odosobnioną plamą.

Aby zrozumieć „sprawę Skiwskiego i towarzyszy", należy poznać jej genezę i bezpośrednie przyczyny. Niech cytowane dokumenty mówią tu same za siebie.

Wertując akta procesu Bühlera widzi się, że pewność Niemców w Generalnej Gubernii załamała się po raz pierwszy w chwili wybuchu powstania w ghetcie warszawskim.

Dowodem tego jest pismo gubernatora Franka z dnia 20 kwietnia 1943:

„Do Szefa Kancelarii Rzeszy, Ministra dr. Lammersa, Berlin W. 8. Vosstrasse 4.

Od wczoraj mamy w Warszawie zorganizowane powstanie w ghetcie, które zwalczać musimy używając armat. Mordy na Niemcach zastraszająco przybierają na sile. Pociągi są napadane, transporty całkowicie niepewne. Bandy tworzą się w sposób budzący przerażenie. W tej sytuacji Bóg jeden tylko może być odpowiedzialny za życie Niemców w Generalnej Guberni"

Pomijając już formułę, w której Frank używa imienia boskiego nadaremnie, uderza tu — po raz pierwszy, jak wspomniałem — ton panicznego nastroju. Cytowane pismo zdradza to wyraźnie. Jasne, że Frank uznał powstanie w ghetcie za groźny protest, mogący wywołać nieobliczalne w swych następstwach skutki.

Dalej Frank żąda zupełnej niezależności od władz Rzeszy i partii oraz domaga się, by mógł sprawować rządy zupełnie samodzielnie w oparciu o autorytet Rzeszy.

Po raz pierwszy domaga się od władz centralnych zmiany w postępowaniu wobec Polaków.

„Kurs wobec Polaków musi się zmienić, jeśli niemieckie rządy na tym terenie mają przynieść w przyszłości trwałe korzyści. Ostry kurs był uzasadniony, póki Niemcy panowali nad tym krajem w sensie administracyjnym i policyjnym i rozporządzali dostatecznymi siłami wojskowymi, aby ten kurs rzeczywiście utrzymać. Ponieważ jednak tego kraju, o powierzchni 140 000 km, nie da się utrzymać w ryzach małą ilością zdolnej do walki policji i garścią uzbrojonych żołnierzy, tego ostrego kursu, którego celem jest wyniszczenie — nie można już w praktyce przeprowadzić.

Mój głos jest poważnym ostrzeżeniem".

pisze Frank i zastrzega się dalej, że nie jest to głos słabości, strachu czy przyjaźni dla Polaków. Domaga się jednak:

1) przestawienia polityki wobec Polaków;

2) ukazania im „jakiegokolwiek obrazu przyszłości w ogólnoeuropejskich ramach";

3) jakiejś zmiany w polityce kulturalnej Rzeszy wobec Polski;

4) w związku z wojną z ZSRR zmiany systemu wyżywienia w interesie niemieckiego potencjału wojennego.

„Proszę list ten przyjąć z taką powagą, z jaką został rozważony. Chodzi tu o los Niemiec w dorzeczu Wisły. Heil Hitler."

Czujemy tu już nie tylko nastroje, które zapanowały po wybuchu powstania w ghetcie, ale i zbliżający się do granic Generalnego Gubernatorstwa front.

25 kwietnia posyła Lammers ten list Franka Himmlerowi a odpis Reichsleiterowi Bormannowi z prośbą o przedstawienie Hitlerowi całej sprawy. Równocześnie Lammers prosi o dyrektywy i zwołanie zebrania jeszcze w bieżącym tygodniu, celem omówienia całości spraw dotyczących Gubernatorstwa.

Nie mogąc się doczekać szybkiej odpowiedzi i odnośnych dyrektyw pisze Frank długi raport, obejmujący 25 stron maszynopisu i wysyła go 25 maja wprost do Hitlera. Prosi w nim, by ostateczny plan zupełnego zniemczenia Gubernatorstwa i związane z tym przesiedlenia przesunięto do czasów powojennych. Powołuje się na fatalne wrażenie, jakie wywołały na Polakach przesiedlenia z Zamojszczyzny i Lubelszczyzny. Tłumaczy powstawanie „grup bandyckich" bezwzględnością metod niemieckich. Te ostre metody jednoczą Polaków przeciwko Niemcom i uniemożliwiają próby utworzenia polskich oddziałów przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Memoriał ten wykazuje, że w r. 1943 poczucie niepewności na naszych terenach dotarło do szczytów urzędowej drabiny niemieckiej. Z dokumentów tych po raz pierwszy wieje przestrach. Wtedy to powstała w głowie Franka decyzja owej „zmiany kursu", by Polaków omamić i dopiero po wojnie przystąpić do wykonania planu zagłady. Tragiczne nasze doświadczenia dowiodły, że polityka niemiecka nie uległa zmianie i że obozy koncentracyjne nadal pracowały „ze wzmożoną wydajnością". Lecz z tego okresu datuje się pomysł nawiązania przez Niemców kontaktów i korzystania z usług polskich. Wynikiem tego była współpraca Jana Emila Skiwskiego z rządem hitlerowskim.

Ażeby uprzedzić jakąkolwiek wątpliwość co do rzeczywistych intencji Franka, przypomnę tu kilka jego wypowiedzi z cytowanego wyżej dzieła „Zburzenie Warszawy", zbioru zeznań generałów i dygnitarzy niemieckich przed prokuratorem Jerzym Sawickim, oskarżycielem polskim w Norymberdze w 1946 r. Szczególną uwagę czytelnika zwracam na daty tych wypowiedzi, świadczące, że pomysł Franka „złagodzenia kursu" był jedynie pozorem i skończył się tylko na wydaniu paru numerów „Przełomu" i na pełnych frazesów artykułach, które ukazały się w hitlerowskiej prasie, w polskim języku.

Ażeby objąć całość obrazu, musimy się cofnąć wstecz. 30 maja 1940 r. Frank na posiedzeniu swego rządu i sztabu swych współpracowników mówi:

„Jeżeli się ktoś lituje, odpowiem na to tylko jedno: tę politykę wobec Polaków prowadzić mogę tylko z waszą pomocą. Wybaczcie moją szczerość, gdybym nie miał w tym kraju przy sobie starej narodowo-socjalistycznej gwardii, policji i SS, z kim bym realizował tę politykę? Nie mógłbym jej realizować z Wehrmachtem ani w ogóle z nikim. Są to bardzo poważne sprawy i my, narodowi socjaliści, stoimy tu przed tak trudnym i odpowiedzialnym zadaniem, że mówić o nim mogę tylko w najściślejszym, zaufanym kole. Jeżeli mimo to, w obliczu tylu trudności, chcemy osiągnąć wytknięte cele — tzn. całkowite opanowanie narodu polskiego na tym obszarze — musimy wyzyskać każdą daną nam chwilę. 10 maja rozpoczęła się ofensywa na Zachodzie — w tym dniu zgasło nadmierne zainteresowanie świata tym, co się u nas tutaj dzieje... Jeżeli o mnie chodzi, jest mi zupełnie obojętne, czy gniewa to Amerykanów, Francuzów, Żydów a nawet samego papieża. Ale zarówno dla mnie, jak i dla każdego z was nieznośne było w ciągu tych miesięcy słuchanie głosów z Ministerstwa Propagandy, z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nawet Wehrmachtu, że jesteśmy reżimem morderców. Przy tym było jasne, że musieliśmy, że byliśmy zobowiązani składać oświadczenia, iż więcej tego robić nie będziemy. Było dla nas jednak również jasne, że w okresie, kiedy światło reflektorów padało na ten obszar, takich rzeczy nie można było robić w zbyt wielkich rozmiarach. Ale od dnia 10 maja propaganda okrucieństw i okropności w świecie będzie nam zupełnie obojętna. Teraz musimy wyzyskać moment, jaki nam dano... Przeprowadzimy tę pacyfikację — jak mogę panom poufnie powiedzieć — na wyraźny rozkaz, który otrzymałem od Führera. Powiedział mi: „Sprawa niemieckiej polityki w Generalnej Guberni jest wyłącznie sprawą odpowiedzialnych urzędników Generalnej Guberni". I tak się wyraził: „Cośmy dotychczas ujęli z polskich warstw kierowniczych, należy zlikwidować. Każdy następny przyrost należy znowu usunąć. Nie można tym zaprzątać ani Rzeszy niemieckiej, ani aparatu policji w Rzeszy. Nie musimy tego elementu wywozić najpierw do koncentracyjnych obozów Rzeszy, gdyż wtedy będziemy mieli tylko kłopot i niepotrzebną korespondencję z członkami ich rodzin. Zlikwidujemy ich tutaj na miejscu. Zrobimy to też w sposób najprostszy".

I Frank dodaje dalej to nieprawdopodobne zdanie, w którym lituje się nie nad ofiarami, lecz nad katami:

„Moi panowie, nie jesteśmy mordercami. Wiem, że przeprowadzenie egzekucji na mocy tych zarządzeń, to dla policjanta czy SS-manna straszne zadanie... Każdy policjant czy SS-mann, na którego nałożono ciężki obowiązek wykonania tych wyroków, musi mieć pewność, że chodzi o wykonanie wyroku narodu niemieckiego. Dlatego, na wszelki wypadek, aby nie uczyniło to wrażenia samowoli, lub czegoś podobnego, należy stosować w czasie tej akcji A—B sumaryczne, policyjne, doraźne postępowanie, tak jak to ustaliłem z towarzyszem Streckenbachem. Każdy z aresztowanych w Generalnej Guberni, przebywający w Rzeszy w obozie koncentracyjnym, ma być oddany do dyspozycji akcji A—B, albo wykończony tam, gdzie się znajduje. Nie wolno nam obciążać obozów koncentracyjnych Rzeszy naszymi sprawami. To przecież okropne, ileśmy mieli kłopotu z profesorami uniwersytetu krakowskiego. Gdybyśmy to sami tu zrobili, miałoby to zupełnie inny przebieg. Chciałbym przeto usilnie panów prosić: nie wysyłajcie nikogo do obozów koncentracyjnych w Rzeszy. Likwidacji trzeba dokonać na miejscu. Wszystko inne to niepotrzebne obciążenie Rzeszy i utrudnianie biegu spraw. Tutaj mamy zupełnie odmienny sposób traktowania i do niego należy się stosować. Chciałbym z największym naciskiem zwrócić uwagę panom, że to traktowanie Polaków nie zmieni się także na wypadek zawarcia pokoju, które będzie oznaczało tylko tyle, że jako mocarstwo światowe będziemy mogli o wiele intensywniej niż dotychczas przeprowadzać nasze polityczne akcje. Pokój i zwycięstwo pozwolą nam jeszcze w szerszym zakresie kolonizować ten obszar".

W mowie wygłoszonej 16 grudnia 1941 r. powiada Frank:

„Z Żydami trzeba skończyć w ten, lub inny sposób... Jeśli odczuwamy litość, to mamy ją tylko dla Niemców, a poza tym dla nikogo więcej na świecie... Nie możemy zastrzelić tych trzech i pół miliona Żydów, nie możemy ich otruć, lecz już znajdziemy drogę, aby się od nich uwolnić".

Na tle tych oświadczeń najcyniczniejszego w historii oficjalnego wyznania, z jeszcze większym — jeśli to możliwe — cynizmem, występuje t.zw. „akcja Bertha", mająca na celu zachowanie wobec Polaków pozorów złagodzenia kursu. Frank, którego bodajże po raz pierwszy obleciał strach w chwili wybuchu powstania w ghetcie, widząc zbliżający się do granic Gubernatorstwa front radziecki, stał się promotorem „akcji Bertha", jak o tym świadczą cytowane na wstępie tego artykułu dokumenty. Lecz równocześnie — (cytuję znowu przesłuchanie Bühlera przez prokuratora Sawickiego w Norymberdze) — mówi w 1944 r., a więc w czasie, gdy najwięcej było mów i memoriałów dotyczących „akcji Bertha":

„Pamiętajmy, że mamy program w szufladzie, program, który spycha Polaków do roli siekaniny... Jeżeli wygramy wojnę o nic wtedy nie będę dbał. Mogę zrobić siekaninę z Polaków, Ukraińców i wszystkich tych elementów, które są pozbawione jakiejkolwiek wartości... Jak długo jednak jesteśmy w stanie wojny, musimy się liczyć z tą ludnością... Wiem dokładnie, że Polacy nie mogą na tym obszarze pozostać i że na nim nie pozostaną". (Ostatnie zdanie z mowy wygłoszonej 17.II.1944 r.). *Procedura likwidacji musi być uproszczona... Uprościmy jeszcze bardziej sumaryczne postępowanie... Zamknięcie Żydów w ghetcie było błogosławieństwem. Należy być wdzięcznym za dekret, który pozwala ich zabijać";*

oto poszczególne zdania z przemówień Franka, cytowanych w książce „Zburzenie Warszawy".

Nie próbując komentować tych wypowiedzi człowieka, który stał na czele związku narodowo - socjalistycznych prawników i piastował przed wojną godność ministra Sprawiedliwości Rzeszy, powrócę do dokumentów dotyczących procesu Bühlera.

W związku z „akcją Bertha" znajduje się tam następujący list Jana Emila Skiwskiego (Krakau, Klöppermarkt 4) z dnia 30 września 1944 roku:

„S.E. Herrn Staatssekretär Bühler
Krakau
Regierung.

Mając w pamięci niezwykłą życzliwość, z jaką Pan, Panie Ministrze, zechciał niedawno wysłuchać opinii moich i dr. Burdeckiego, pozwalam sobie teraz przesłać Panu opracowane przez siebie uwagi na temat propagandy, jaką należało by obecnie stosować.

Zechce Pan przyjąć, Panie Ministrze, wyrazy mego najgłębszego poważania

Pański oddany
(—) J. E. Skiwski".

Wzmiankowany w liście Skiwskiego elaborat, to zdumiewający dowód zdrady, inteligentnej redakcji, zaślepienia i zupełnej aberracji umysłowej autora, który napisał go po powstaniu i zniszczeniu Warszawy, gdy armia radziecka stała nad Wisłą. Wtedy to, przerażony postępami bolszewików, Skiwski, przychodzi do Niemców z radami, jak ma działać propaganda niemiecka w stosunku do Polaków, by ich sobie zjednać i zmontować polski front antyradziecki.

Memoriał swój, adresowany do Bühlera, zatytułował Skiwski: „Zmienione aktualne zadania propagandy niemieckiej". Oto co pisze:

„Gdy analizujemy przyczyny tego, co się stało w Warszawie i Paryżu, musimy dojść do wniosku, że te smutne wypadki nie dadzą się wytłumaczyć często rzeczowymi okolicznościami. Bez wątpienia działały tu przyczyny psychologiczne, i one przede wszystkim działały.

Dlaczego doszło w obu miastach do wybuchu powstań?

Łatwo da się stwierdzić trzy przyczyny, które mogły tu podziałać i podziałały:

1) W obu środowiskach poważne wpływy komunistyczne,

2) Przekonanie o nieodwołalnej katastrofie Niemiec, ugruntowane falą niepowodzeń i niewiarą w nowe, nieujawnione jeszcze, techniczne i wojskowe możliwości armii niemieckiej.

3) Działanie propagandy, podtrzymującej wrogą wobec Niemców postawę".

Zastanawiając się, dlaczego Polacy nie poszli na lep antykomunistycznej propagandy niemieckiej, Skiwski i Burdecki dochodzą do wniosku, że alianci obiecują Polakom wszystko, a Niemcy nic. Skiwski powiada, że takie powiedzenie z mowy gauleitera Greisera jak: „Naród polski interesuje nas tylko jako siła fizyczna" — szkodzą propagandzie niemczyzny.

— „W ten sposób — pisze Skiwski — daje się wyraźnie poznać Polakom, że ich rola w przyszłej Europie będzie rolą kolonialnego ludu eines Kolonialvolkes). Zacytowałem tu słowa Gauleitera. Lecz jakże często w prasie i w oficjalnych wypowiedziach znaleźć można jeszcze ostrzejsze stanowisko! W ten sposób społeczeństwo polskie utwierdza się w przekonaniu, że ze strony niemieckiej nie może oczekiwać niczego ani na nic nie może liczyć. Z konieczności zwróciło więc wszelkie swe nadzieje ku wrogom Niemiec".

W dalszym ciągu przytacza Skiwski przykłady złej polityki niemieckiej, np. fakt kopania dzieci przez Niemców „w pewnym mieście prowincjonalnym". Uważa takie fakty za niepolityczne i mówi, że nie może ich przed swoimi rodakami usprawiedliwić inaczej niż twierdzeniem, że pod okupacją sowiecką dzieci te zostałyby natychmiast wywiezione na Sybir lub, w razie oporu, rozstrzelane na miejscu.

„Jest to fakt, że mała lecz upokarzająca niesprawiedliwość wzbudza więcej wrogości niż wielka niesprawiedliwość. Wielka niesprawiedliwość, to polityka, upokarzająca zaś niesprawiedliwość, to lekceważenie dumy narodowej, które paraliżuje w danej chwili zaufanie i sprawia, że jakiekolwiek porozumienie staje się z góry niemożliwe".

Dalej zastanawia się Skiwski, w jaki sposób i przy pomocy jakich metod mogliby Niemcy opanować cały „nieniemiecki kontynent europejski" tak, by wyplenić z umysłów kiełkujące wciąż „ziarna rebelii".

„Myślę, zwłaszcza — pisze dalej Skiwski — *o wprowadzeniu nowych metod niemieckiej pracy propagandowej, tzn.: spopularyzowania słowem i czynem pojęcia narodu przodującego (Führervolk) w przeciwieństwie do narodu panów. Herrenvolk, to pojęcie należące do przeszłości. Jeśli istnieje naród, który mógłby się o ten tytuł ubiegać, byłby nim jedynie naród angielski, ściślej mówiąc, jego kapitalistyczne sfery rządzące. Z pojęciem pana związane jest pojęcie niewolnika. Z tymi dwoma pojęciami wiąże się pojęcie kapitalistycznego wyzysku i ucisku. W nowej Europie jest miejsce na jeden tylko naród przodujący — naród niemiecki — oraz na narody prowadzone, korzystające ze współpracy z narodem przodującym. Te pojęcia mają być popularyzowane zarówno wśród niemieckiego narodu, jak i u innych narodów europejskich".*

Skiwski służy Niemcom radami, jak należy kształcić „nieniemieckie narody" i jak je pouczać o podstawach ideologii narodowo - socjalistycznej i przodującej innym narodom roli Niemiec. Wychodząc z tych założeń doradza: 1) racjonalną wobec „nieniemców" propagandę rasizmu; 2) mniej jaskrawe i rzucające się w oczy prześladowanie Żydów; 3) uświadamianie o roli, jaką poszczególne narody aryjskie mają odegrać w rozbudowie nowej Europy. („Metody propagandowe — pisze dosłownie — nie były dosyć zróżniczkowane i to było powodem niejednego już nieporozumienia"); 4) tłumaczenie sprzecznych interesów poszczególnych narodów europejskich dotychczasowym brakiem konsolidacji Europy pod przewodem Niemiec; 5) popularyzowanie osiągnięć niemieckich, które zamaskowałyby złe wrażenie ujemnych stron rządów niemieckich.

„...np. przeprowadzając prace melioracyjne w Generalnym Gubernatorstwie nie należy wysuwać tego, że służą one wyłącznie i jedynie interesom niemieckim i nie głosić, że ludność zostanie przesiedlona na Wschód, a ziemie te przypadną po wojnie Niemcom.

6) przyjęcie wobec problemu niemieckich wpływów kulturalnych na inne narody, a w szczególności na naród polski, „postawy europejskiej".

Nie warto tu dociekać, co Skiwski za „postawę europejską" uważa. Doradza on następnie skuteczne maskowanie tego wszystkiego, co pisma narodowo - socjalistyczne zbyt brutalnie głoszą wobec „niższych kulturalnie narodów".

Jakież konferencje i kontakty musiały poprzedzić powyższy memoriał, jakże ugruntowana musiała być pozycja Skiwskiego, skoro mógł sobie pozwalać na takie zdania ze spokojem i pewnością, że Niemcy bez zastrzeżeń je przyjmą.

Memoriał Skiwskiego i długie raporty jego prawej ręki dr. Feliksa Burdeckiego (którego w dokumentach Bühler i inni długo nazywają „Herr Podecki", na co on odpowiada niestrudzenie jako Burdecki) świadczą na każdym kroku o zdumiewającej roli tych, którzy w zamian za swe usługi i rady nie usiłują nawet nic wytargować od Niemców. I to jest może najbardziej zadziwiające w całej tej sprawie. Wszystkie tajne raporty i rady Skiwskiego i Burdeckiego służyć mają tylko skuteczniejszemu maskowaniu istotnych celów polityki niemieckiej — i wynika z nich jasno, że cele te były znane autorom wymienionych raportów. Nie chodziło im nawet o złagodzenie kursu, lecz o złagodzenie pozorów. Tym samym twierdzić możemy, że linia polityczna Skiwskiego zbiegała się z linią polityczną Franka.

Czy można tu zresztą mówić o jakiejś linii czy koncepcji politycznej? Jeśli już o tym mowa, to nie możemy nawet zestawiać Skiwskiego z francuskimi, flamandzkimi czy norweskimi kolaboracjonistami. Wierzył zapewne, jak i oni, w zwycięstwo Hitlera, lecz na uwadze miał przede wszystkim interesy niemieckie. I jeśli Frank i Bühler — drżąc o własną skórę — dbali przynajmniej o ustrój, któremu służyli, usiłując w ostatnim roku swych rządów zrobić jakiś pozorny gest, który by mógł zamydlić oczy Polakom — Skiwski jest bardziej naiwny: zdaje się nie dostrzegać, że w ustroju hitlerowskim niemożliwe było uzyskanie czegoś dla Polaków. A może i dostrzega i dlatego nie próbuje się nawet targować?

W aktach tych znajdujemy również służalcze skróty historyczne, geopolityczne oraz projekty propagandowych przemówień radiowych, redagowane przez Burdeckiego dla Niemców, nigdy jednak przez nich nie wyzyskane. Poziom tych elaboratów jest jeszcze niższy. W listach do „Czcigodnego Kanclerza Rządu Generalnego Gubernatorstwa" Burdecki obiecuje dalsze materiały i „byłby bardzo rad, jeśli dotychczas Kanclerzowi mógł się już nieco przysłużyć". Daje krótki zarys historii Polski, w którym przegląd naszych wojen ze wschodnimi sąsiadami (Tatarzy, Rosjanie, Turcy) przeciwstawiony jest twierdzeniu, że od czasów Kazimierza Wielkiego „Polska była prawie zawsze wiernym sprzymierzeńcem Rzymskiego Imperium Narodu Niemieckiego i popierała politykę hanseatycką". Wszystko to mogło ułatwiać Niemcom propagandę i służyć im za „bryk", z którego czerpać mogli potrzebne slogany. W całym tym jednak materiale nie sposób doszukać się czegoś, co by miało choć pozory jakiejś „hitlerowsko-polskiej myśli politycznej".

Ostatecznym wynikiem tych wszystkich kontaktów było wydanie kilku numerów „Przełomu", którego pierwszy numer z artykułami Skiwskiego, Burdeckiego i Stanisława Kościelskiego ukazał się 17.IV. 1944 r., datowany z Racławic (sic!). W numerze tym Skiwski w artykule pt.: „Cena krwi" pisze o terrorze stosowanym przez Polaków wobec Niemców i takie podaje rady — tym razem do nas już kierowane:

„Czyjaż ręka otworzyła te studnie szaleństwa?" (tak nazywa Skiwski polski ruch oporu). *„Prowokacja komunistyczna? Niewątpliwie, dużo zdziałała. Ale nie można wszystkiego wytłumaczyć prowokacją komunistyczną. Działa tu czynnik inny, groźniejszy — bo wewnętrzny. Nieokiełznany żywioł wzburzonego uczucia. Jest to — powie ktoś — dowód żywotności narodu. Tak, ale ta żywotność nosi w sobie bakcyla śmierci".*

Przykłady te, nawołujące w imię niebezpieczeństwa komunizmu do współpracy z narodem, który chciał nas znieść z powierzchni ziemi, mogłyby nas przygnębić, gdyby nie fakt, że są to — jak już wspomniałem — jedyne na taką miarę odosobnione dowody z całego okresu okupacji niemieckiej.

Zasada przyjęta przez Komisję Narodów Zjednoczonych dla przestępców wojennych w Londynie, że nie wydaje się zdrajców-kolaboracjonistów, lecz tylko zbrodniarzy wojennych, pozwala dziś J. E. Skiwskiemu i F. Burdeckiemu przebywać za granicą. Z cytowanych i streszczonych dokumentów jasna staje się rola, jaką odegrali w latach, w których byt narodu śmiertelnie był zagrożony.

Poznać to i pamiętać o tym należy, zwłaszcza gdy słyszymy o pewnych gościach zagranicznych, którzy uśmiechają się zwiedzając resztki obozu w Majdanku i dają wyraźnie do zrozumienia, że nie wierzą, że uważają to za propagandę. Czy cytowane tu mowy Franka, czy ruiny Warszawy i rozsiane wśród nich miejsca kaźni, to też propaganda i dowód naszej „antyniemieckiej psychozy"?

Proces Bühlera przyniesie syntetyczny obraz środków stosowanych przez reżim hitlerowski przeciw okupowanemu narodowi i powinien stać się głosem ostrzegawczym dla wszystkich knujących plany wojenne. Odsłoni on raz jeszcze konsekwencje, do których prowadzi przyjęta zasada dyskryminacji narodów.

Skiwski jest, na szczęście, odosobnionym u nas zjawiskiem. Pragnął związku z Niemcami hitlerowskimi, w których zwycięstwo widocznie wierzył, lecz czego spodziewał się w zamian? Z tajnych jego raportów widać, że nie łudził się bardzo. Głębsze wniknięcie w tę sprawę rozstrzygnęłoby może, czy była to polityka niewiary i rozpaczy — czy też narodowo - socjalistyczny obłęd ideologiczny.

Na przykładzie tym możemy się jednak nauczyć wiele, istnieją bowiem analogie i dalsze ciągi w historii. Wciąż jeszcze są ludzie, wierzący w jakieś błogosławione dla nas skutki przyszłej wojny. Ludzie tacy przypominają Skiwskiego, który wierzył w coś, co mogło być dla nas tylko zagładą.

Zebrał i skomentował:

Zygmunt Mycielski

ŚMIERĆ ORIENTALISTY

(Dokończenie ze str. 1)

wspomnienie — od czasu, gdy przy stole uniwersyteckim w skromnym pokoiku seminaryjnym przy zbiegu ulic Gołębiej i Jagiellońskiej w Krakowie siadywaliśmy do lektury i interpretacji „dywanu" Kaba ibn Zuhajra.

Po długich latach wreszcie, przed rokiem, druk się rozpoczął, ale okrutna niemoc przerwała pracę. Trawiony straszną chorobą profesor — pomny swych obowiązków i nade wszystko miłujący wiedzę i naukę — nie odkładał pióra i, choć przykuty do łoża, prowadził nadal korekty trudnego tekstu oryginalnym pismem arabskim, składanego w Drukarni Jagiellońskiej przez jedynego w Polsce specjalistę, zecera Galewskiego. Praca zatrzymała się na piątym czy szóstym arkuszu. Miejmy nadzieję, że dzięki pomocy kolegów i najbliższych współpracowników druk zostanie niebawem zakończony i monumentalna edycja staroarabskiego manuskryptu, prawdziwe dzieło życia uczonego ujrzy światło dzienne, choć już książki swej nie będzie oglądał ten, który przez parę dziesiątków lat swego żywota badał skrupulatnie każdy znak, każde słówko ulubionego poety.

Smutkiem i głębokim żalem powieje na nas z kart tej księgi, gdy czytać będziemy natchnione słowa Kaba ibn Zuhajra:

„Każdy zrodzony z niewiasty, choćby najdłużej służyło mu zdrowie,
Znajdzie się kiedyś niesiony na wklęsłym narzędziu (= na marach)...

(Banat Suad, wiersz 35).

Wyrok to nieodwołalny. A jednak jakże trudno jest z nim się pogodzić — ponad siły przyjaciół i najbliższych uczniów.

Więc musi przyjść refleksja pocieszająca, ożywcza. To tylko cząstkę, ułamek prawdy, a nie całą prawdę objawił nam wiersz perskiego filozofa Omara Chajjama:

„Niejedną na naukach strawiłem godzinę,
Niejedną miałem radość, iż z nauki słynę,
A oto jest — posłuchaj — treść zdobytej wiedzy.
Z prochu wziąłem początek i jak wiatr przeminę".

(„Czterowiersze", przekład A. Gawrońskiego).

To tylko *życie* przemija, — „strawione na nauki godziny". Ale godziny nie poszły na marne. Wydały bogaty plon, trwały dorobek naukowy. Puścizna ta i przykład ofiarnego życia naukowca, ponad wszystkie inne godności wynoszącego powołania uczonego — powinny stać się zachętą do dalszej wytężonej pracy, do dalszego rozwoju i sukcesów orientalistyki polskiej, co przecież zawsze było główną troską i celem najmilszym sercu Tadeusza Kowalskiego.

Ananiasz Zajączkowski

JERZY PUTRAMENT

Notatki o Oświęcimiu

JAKIE TO ŁADNE!...

Dwadzieścia kilometrów lichej szosy, wytyczonej napisami „Do Oświęcimia". Ta odmienność drogowskazowego stylu dyskretnie zwraca uwagę na mieścinę, która w tak nieludzki sposób weszła do historii. Jesteśmy w kręgu „Muzeum Państwowego w Oświęcimiu".

Przy bramie paru młodych chłopców w strojach ni to Milicji Obywatelskiej, ni to partyzantów. Formalności są krótkie. Dyżurny dopytuje się nas tylko: kogo reprezentujemy? Nie mogę zrozumieć pytania. Przy 11 bloku bardziej wyrobiony przewodnik, zadając to samo pytanie umie wyjaśnić — bo tu są zawsze przedstawiciele albo wycieczki zbiorowe. Na szczęście, nie okazał się zbytnim formalistą i przyjął do wiadomości oświadczenie: reprezentujemy siebie samych.

Parę wycieczek już uwijało się między barakami. Jedna, szkolna, wyprzedziła nas o pół stacji w tej narodowej Kalwarii. Dwunastoletnie wyrostki wychodziły właśnie, kiedyśmy za nimi wkraczali do budynków, ruin czy po prostu miejsc, nakazanych w Oświęcimiu do obejrzenia.

I to jest pierwsza sprawa, z którą nie mogę się pogodzić. **Po co puszcza się dzicci do Oświęcimia?**

Wchodzimy do baraku. Za Niemców mieszkało tu, zdaniem przewodnika, 1.500 i więcej osób. To znaczy tyle, ile w takiej Francji żyje w jakichś 500 — 600 domach. Nawet zdawkowe już z konieczności wyuczone słowa przewodnika, nawet trzy lata pokoju, nawet piękna, słoneczna pogoda nie potrafią rozproszyć ponurości tego baraku. Cierpienia tysięcy ofiar zostały w tych murach, nie można o nich nie myśleć.

Ale wycieczka, która z tego właśnie baraku wyszła przed chwilą, była rozbawiona. Chłopcy się kuksali, dziewczęta ukradkiem skubały dmuchawce z trawników, jedni i drugie wyraźnie pokpiwali i z przewodnika, i z pani kierowniczki, i z tego, co właśnie im opowiadano.

Kiedyśmy pojechali szukać 11 bloku, może dziesięcioletni chłopak, napotkany w dawnym „obozie gospodarczym", ofiarował się zaprowadzić nas na właściwe miejsce. Autochton, znakomicie wyczuł, jaką koniunkturę dla miasteczka stwarza obóz i nie szczędził komentarzy:

— Na jedenastym, to nie tylko blok, gdzie rozstrzeliwali. Tam jest muzeum. Tam jest wszystko. Tam z gipsu cały obóz zrobili. I bloki i krematoria. **To takie ładne...**

Ten niebezpieczny wniosek nadaje się na dużą, naukową rozprawę. Nie tylko psychologia dziecka, ale i psychologia w ogóle i socjologia mogłyby z tego niejedno wyciągnąć.

W tym wypadku sprawa jest prosta. **Dziecko musi być beztroskie.** Jeśli niemądrzy pedagodzy sądzą, że pokazując ten widomy obraz faszyzmu nauczą to dziecko nienawiści do tegoż — to się głęboko mylą. W tym wypadku lepiej może skutkować zwykła lekcja w klasie. Natomiast wycieczka do Oświęcimia jest nonsensem.

Po pierwsze: wycieczka w roku szkolnym jest zawsze świętem. Po drugie — Oświęcim zbyt skomplikowanym jest zjawiskiem, aby kilkunastoletni wyrostek mógł wiele z tego zrozumieć. Ryzykuje się przy tym jedną rzecz bardzo groźną, że zrozumie tylko część Oświęcimia, tę właśnie najbardziej rzucającą się w oczy i szczególnie przez przewodników podkreślaną: jak łatwo jest masowo zabijać ludzi.

Dewaluacja życia ludzkiego jest chyba najszerszym doświadczeniem, jakie nasza młodzież wyniosła z okupacji. Cóż za nonsens, aby pierwsze pokolenie powojenne rosło w doświadczeniu: sala pięć na osiem metrów — to znaczy za jednym razem, powiedzmy, siedmiuset...

Również cyfry globalne. Bez trudu wyobrażam sobie szesnastoletnich podrostków, którzy na propozycję wycieczki na Majdanek odpowiedzą: Ilu tam zginęło? Pięćset tysięcy? Nie pojadę. Byłem w Oświęcimiu. Tam dopiero...

Mowy nie ma, abyśmy sobie z pamięci wyrzucili i Oświęcim, i Majdanek, i Sobibór. Trzeba je tylko przechować w logicznym ciągu i nie podawać w oderwaniu od historycznych przyczyn, które je tworzyły. Maturzyści obznajmieni z historią ustrojów, z faszyzmem, jako emanacją pewnego stylu życia ludzkiego, mogą i powinni jechać do Oświęcimia, by zobaczyć na własne oczy, do czego taki ustrój dochodzi i dojść musi.

Ale dzieci?

TU, PROSZ PAŃSTWA...

Przewodnicy w Oświęcimiu są młodzi, uprzejmi, przyjemni. Ale są przewodnikami. W ciągu paru lat funkcjonowania „Muzeum Państwowego" nauczyli się oni na pamięć paruset zdań, niezbędnych przy oprowadzaniu wycieczek. Co inteligentniejsi podchwycili i zapamiętali te miejsca ze swego repertuaru, które najczęściej wzbudzały zainteresowanie. Słowem, ci byli więźniowie stali się już teraz zawodowcami.

I to jest rzecz dosyć okropna.

Podchodzi taki przewodnik do kolejnego obiektu i deklamuje:

— Tutaj, prosz państwa, jedyne zachowane krematorium. A stało się tak, bo Hoess zbudował sobie willę w pobliżu i nie chcąc czuć dymu, z krematorium zrobił skład narzędzi. Było to małe krematorium, z przepuszczalnością 500 (dajmy na to) trupów dziennie. O, proszę. Tu wkłada się trupa (wózek jest jakby świeżo czyszczony). Siup!... (szyny i kółka są naoliwione)... i trup jest w piecu. Z tamtej strony wygrzebuje się popiół...

Przewodnik przechodzi do sąsiedniej ubikacji:

— Tu, prosz państwa, komora gazowa z pojemnością do 700 osób. Tutaj był otwór... gaz cyklon, przy temperaturze 27⁰... Tutaj był otwór we drzwiach, przez który esesmani...

Przy wysadzonych krematoriach inny przewodnik deklamuje z nadzieją w głosie:

— Podobno mają odbudować jedno takie, zupełnie jak było... Plany się zachowały. Ale... (i tu nuta melancholii) może tylko tak gadają...

Patrzę na tych opalonych, tęgich chłopców i myślę: co za potworny zawód sobie wybrali. Zamiast pracować, budować, rosnąć — oprowadzają dzień w dzień dziesiątki wycieczek, dukają swoje komentarze, którym codzienność prawie odebrała powiew okropieństwa ich treści — jeśli mają co budować — to właśnie krematorium...

Oczywiście, Oświęcim dzisiejszy daleki jest od tego, co by zeń zrobili, dajmy na to, Amerykanie.

Doskonale sobie wyobrażam wycieczki jakiegoś amerykańskiego Cooka: „Czy znasz największe na świecie miejsce zagłady?" „Poznaj piekło". Wycieczki takie dzieliłyby się na zwykłe, turystyczne i specjalne. Te specjalne, za odpowiednio wysoką opłatą przewidywałyby: dojazd w wagonach towarowych (ostatnie 10 km) po 120 osób na wagon, podpędzanie pałami przez specjalnie umundurowanych esesów (autentyczni! prosto z komisji denacyfikacyjnej!), rozbieranie się, jak do gazu, wpędzenie do komory... każdy z powracających miałby prawo do zabrania garści popiołu. Za osobną opłatą tatuowano by mu numerek na przedramieniu.

Daleko nam do Ameryki, to prawda. A przecież w tym, nie w innym kierunku zmierzać zdaje się muzeum oświęcimskie.

Trudno mi przedstawić — czym takie muzeum być powinno. Trudniej — niż zareagować na zjawiska, które mnie uderzyły do żywego. Normalne muzeum powinno czegoś uczyć. Może również frapować ciekawostkami, nie mającymi większego znaczenia poznawczego. W Oświęcimiu jednak nie powinno być ciekawostek. Powinno natomiast być coś innego: powaga. Jeżeli gdzie ma jakiś sens iście polska formuła „świętości nie szargać" — to właśnie w Oświęcimiu.

Tej atmosfery powagi nie wzbudzają elementy Grand - Guignolu, których dziś nie szczędzi obóz.

I jest zbrodnią zatrzymywać w obozie młodych chłopców, którzy się przewinęli kiedyś przez Oświęcim i dziś nie potrafili zrozumieć konieczności wyrwania z korzeniami tego okresu ze swego życia. Niech idą, niech budują.

O TRYBUNAŁ OBYWATELSKI

Andrzejewski, jak przystało na prawdziwego pisarza, w swojej ostatniej książce postawił kilka problemów niezwykłej aktualności. Najgłębszy, moim zdaniem — to problem starego Kosseckiego. Normalny, „przyzwoity" człowiek trafił do obozu i tam zachowywał się jak świnia. Czy ma za to odpowiadać i według jakiego kodeksu?...

Nie sądzę, by Andrzejewski problem ten ujął w najczulszym punkcie. Oczywiście, nie chodzi tu o zastrzeżenia, wysunięte przez Kotta w jego niesłusznej na ogół i krzywdzącej — Andrzejewskiego recenzji w „Kuźnicy". Problem jest o wiele głębszy i ogólniejszy.

Można powiedzieć, że obozy koncentracyjne stanowią punkt zwrotny w dziejach ludzkiej moralności. Dotąd mieliśmy do wyboru trzy drogi moralne: bohatera czy świętego, przestępcy i zwykłego człowieka. Cała taktyka hitleryzmu zmierzała do przekreślenia tej trzeciej drogi. Hitleryzmowi zależało na uczynieniu w społeczeństwach przez siebie rządzonych jak największej ilości właśnie przestępców, gdyż tacy byli dla niego najmniej niebezpieczni i zresztą z nich werbował najwierniejsze zastępy swoich sług.

Nienormalne, nieludzkie warunki bytowania w obozach spowodowały niejedno potknięcie się czy załamanie moralne. Kossecki w „Popiele i diamencie" bardzo słusznie analizuje to zjawisko. Jest z pewnością bardziej przekonywający niż Podgórski, któremu jego niedługi staż partyjny narzucił stanowisko zanadto sztywne, rzekłbym nawet: sekciarskie.

Tylko że Andrzejewski źle wybrał przykład. Przyjmujemy, że Kossecki był skończonym łotrem. W tym wypadku nawet wyjątkowa atmosfera obozu może nie być usprawiedliwieniem. O ile częstsze i trudniejsze są wypadki, gdy więzień obozowy potrafił przeżyć tylko dlatego, że popełniał drobne wykroczenia dyscyplinarne, dajmy na to — z pośrednią szkodą dla swoich kolegów, że — pośrednio — przeżył ich kosztem...

Widziałem i słyszałem o takich wypadkach. Spotykałem ludzi, którzy nigdy w obozie nie będąc rwali się do zasadniczego potępiania takich właśnie więźniów! Deklamowali przy tym wiele nader podniosłych haseł. Nie sądzę, aby mieli rację. Nie sądzę również, aby jej nie mieli. Sądzę, że ci, którzy w obozie nigdy nie byli, nie powinni z łatwym sercem na oceny takie się porywać.

W obozach było inne ciśnienie moralne. W obozach byli również różni ludzie. Ludzie ideowi i bezideowi. Wydaje mi się naciągnięte tłumaczenie casusu Kosseckiego jego mieszczańskim pochodzeniem. Również robotnik, również chłop mógł się doskonale stać katem współwięźniów. Robotnik bezideowy, nieuświadomiony, opętany fałszywą wiarą — po rozbiciu swojej partii — służył Hitlerowi, jak chłop i jak mieszczanin. Przewaga robotnika nad mieszczaninem polega na tym, że jego interes klasowy zbiega się z interesem danego narodu, gdy u mieszczanina w pewnym okresie dzieje się wprost przeciwnie. Istotnym wydaje się moment ideowości, świadomości danego więźnia.

Innego stosunku do życia wymagamy od biernego, bezideowego mieszczucha, innego od — dajmy na to — starego komunisty. Co u pierwszego może być dreptaniem w miejscu — u drugiego staje się skokiem w tył. Śmieszne jest domagać się od Henryka IV pozytywnego stosunku do związków zawodowych, albo od Bolesława Śmiałego — pędu do reformy rolnej (są zresztą u nas tacy, którzy chętnie by to weń wmówili).

Jest więc cały splot zagadnień moralnych i prawnych, wynikłych z obozów. Wydaje mi się, że najcelowiej było by powołać specjalny **Trybunał Obywatelski,** złożony z byłych więźniów, który by wynosił werdykty — czy taki a taki casus przekraczał ludzkie normy, obowiązujące w społeczeństwie więźniarskim i jakie konsekwencje z tego należy wyciągnąć.

Oby tylko pamięć o zmarłych kolegach i o własnej męce nie przesłoniła mu jednej, jakże niezbędnej nam dzisiaj rzeczy: łaski. Tej bym, właśnie wobec byłych więźniów obozowych nigdy nie szczędził.

Jerzy Putrament

ARNOLD SŁUCKI

JAK DRZEWA WIOSNĄ

Jak drzewa wiosną zieleniej
widzę moje przyszłe wiersze —
drzewa życia i poznania,
jak gdyby jakiś je Miczurin
zaklął, każąc rosnąć w jedno,
o płodach krągłych i soczystych,
o barwie jasnej, podatnej na światło.
Nie będą to jabłka raju,
a zwyczajne, proste jabłka,
których nie wolno kojarzyć z grzechem
w świecie, w którym naprawdę
żyć można bez klechd i węży.

EWA FISZER

DZIECIŃSTWO

Czternaście niebieskich chabrów
Wdeptano w ziemię pod progiem
Jak wyłupione oczy
Siedmiu bliźniaczych postaci

*

Przez pięć lat życie każdego z nas
Przez pięć lat życie każdego z nas
Szło siedmioma torami
To jeszcze jakiś czas
Będzie ciążyło nad nami
To jeszcze przez jakiś czas pozostanie

Na jednej ze ścieżek czułość wieczoru
Na innej ścieżce łatwa nienawiść
Na trzeciej czwartej las i nauka
A było ich jeszcze trzy a było ich jeszcze trzy
I nawet nie było wolno
Przyznać się na jednej do wszystkich

Kto nas potrafi wybawić
Od nieodpowiedzialności za życie
Kto z powrotem nałoży ciężar

Strach jest wyciągnąć rękę
Strach spojrzeć prosto w oczy.

NAGRODA LITERACKA »ODRODZENIA«

Pragnąc przyczynić się do ożywienia twórczości literackiej Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" ustanowiła coroczną nagrodę „Odrodzenia". Nagrodę tę przyznawać się będzie każdego roku w dniu 22 lipca, w dniu święta Odrodzenia Polski, za najwybitniejszy tom prozy (powieść, opowiadania, krytyka, wspomnienia) ogłoszony drukiem po 1.IX.1939 r. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Jarosław Iwaszkiewicz za książki: „Nowele włoskie" i „Nowa miłość".

Podajemy skład jury tegorocznej nagrody „Odrodzenia":

Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Zofia Nałkowska, Kazimierz Wyka, Stefan Żółkiewski.

WYSOKOŚĆ TEGOROCZNEJ NAGRODY WYNOSI ZŁ 250 000

NOWOŚĆ! **NOWOŚĆ!**

JAN DOBRACZYŃSKI

WYBRAŃCY GWIAZD

POWIEŚĆ

Str. 304
zł 800.—

KSIĘGARNIA
ZDZISŁAW GUSIOWSKI
POZNAŃ ul. WIELKA 10

Do nabycia
we wszystkich księgarniach

JERZY BROSZKIEWICZ

CHOROBA

Przebieg choroby nie był zwyczajny i prymariusz miał powody do złości. Zdjęcia płuc Wiktora robiono co dwa tygodnie, we wtorki. Już po trzecim z nich Wiktor nauczył się dwu rzeczy — czekania na co drugi wtorek, oraz czekania na co drugi wtorek z wrogością. Nic dziwnego nie kryje się w tych reakcjach: po pierwszym zdjęciu uwielokrotniono zastrzyki. Po drugim prymariusz po raz pierwszy użył w zdenerwowaniu terminu „odma". Po trzecim termin „odma" stał się faktem. Odmę zrobiono Wiktorowi zaraz następnego dnia, czyli szóstej środy po przybyciu na ową salę.

Wiktor przywitał Henryka z codziennym spokojem — tyle że był bledszy i niezbyt przyjemny z nowym uśmiechem.

— Zrobiono mi dzisiaj... — wyjaśnił co.

A więc Henryk od razu się ucieszył, że teraz niewątpliwie nastąpi w tym wszystkim zwrot ku lepszemu — dotychczas nie wymieniali uwag na temat dziejącego się zwrotu ku gorszemu.

— Hm — powiedział Wiktor i niewątpliwie chciał sprecyzować owo „hm" dokładniej, jednak przeszkodzono mu. W rozmowę ich wkroczył po raz pierwszy od sześciu tygodni pan Pakusiewicz.

— Tak — oświadczył groźnie — tak! Tylko bez megalomanii.

— I owszem — dodał Stoczek, uśmiechając się w poczuciu swej skromności.

— Ho, ho, ho — teraz to Wójcik zadrwił sobie z odmy Wiktora. — I tak życie nic nie warte i tak nic nie warte. Żadna odma nie pomoże na francowaty los.

Dotychczas Wiktor bywał przedmiotem tylko bardzo dyskretnej uwagi — jedynie Wójcik, i to z rzadka, zajmował się w skąpych słowach jego chorobą, zaś czasem Pyrkowski tłumaczył mu w nudny sposób, dlaczego musi krzyczeć przez sen. Czynił to zresztą bardzo bezosobowo — a że jego łóżko mieściło się pomiędzy łóżkami pana Pakusiewicza i Wiktora, więc nie

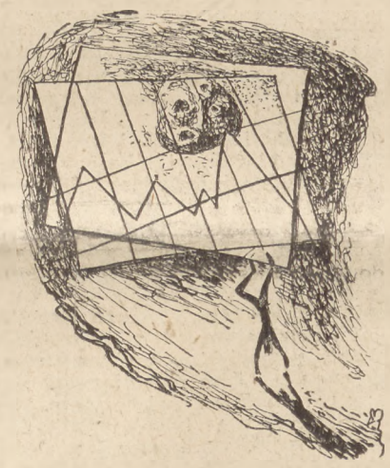

trudno pojąć, dlaczego właśnie do Wiktora zwracał się z wyjaśnieniami na temat owych krzyków, złych snów, bezsenności i bólów głowy.

Jednak poza uwagami Wójcika i o wiele rzadszymi wyznaniami Pyrkowskiego nic i nikt — zasadnicze milczenie. Wiktor i jego goście byli na tej sali po troszę jak na wyspie. Rozmawiali szeptem, w najlepszym wypadku półgłosem. Starali się nawet nie patrzyć w stronę pana Pakusiewicza, z tym rzecz jasna, że nie czyniło się tego ani w tchórzliwy sposób, ani w sensie tchórzliwym. Bowiem: z jednej strony — czyli z tamtej strony — wyglądało to tak groźnie i dumnie, że nasuwały się porównania do władzy monarszej, do kamaryli, zauszników, popleczników, i tak dalej i tym podobnie.

Ale i Wiktor, i Henryk, i nie najbystrzejszy nawet Rutkowski bardzo łatwo dostrzegli prawdę ukrytą zarówno za władczymi pozorami pana Pakusiewicza, jak za kpiną i drwiną Wójcika — prawda była ani władcza, ani ironiczna.

Pan Pakusiewicz pogardzał ludźmi spoza szpitala i nazywał ich zdrowie nieludzkim — to prawda. Ale dlaczego tak czynił? W obronie koniecznej. Gdyby nie taka

właśnie postawa, cóż pozostało by z jego władczego stosunku do świata?

Należy docenić osobiste racje takiej filozofii — ich bezpośrednią wartość użytkową. Należy też zrozumieć powody, dla których umysły chwiejne i słabe dały się uwieść urokiem owej filozofii. Należy w końcu pojąć sens wszystkich kpin Wójcika. On bowiem był zbyt skromny — nie umiał jawnie walczyć w obronie swego życia. Ale wystarczyło mu, że wyśmiewa cudze — w ten sposób własne stawało się mniej śmiechu warte.

— Ja wam powiem — mawiał Wiktor do przyjaciół — nie śmiejmy się z nich.

Henryk mimo to uśmiechał się. Ów uśmiech krył w sobie wiele wrogości.

Tym mniej więcej sposobem łóżko Wiktora obustronnie wyłączono z klimatu tej sali. Sytuacja nie zmieniła się po pierwszym zdjęciu rentgenowskim — nie ulegała też zmianie po drugim, chociaż padło słowo „odma". Wiemy, że było to słowo ważne. A choć nie zwrócono na nie uwagi — mimo iż świadczyło o godnym przecież uwagi awansie Wiktora — nie padło przecież w próżnię.

Dowodem fakt już po części znajomy: oto w dniu, w którym słowo „odma" stało się ciałem, pan Pakusiewicz zapomniał o swojej dumnej obojętności, Wójcik zaś wbrew wszelkim swym zwyczajom sprzymierzył się z panem Pakusiewiczem — wpierw, jak wiemy, zaśmiał się i stwierdził, że żadna odma nie odmieni francowatego losu, potem zaś zapaliwszy się do poruszonego tematu, odłożył podkradziony panu Grusowi dziennik i usiadł na łóżku.

— Co? — spytał samego siebie — Odma? Widzieliśmy już takich, co wierzyli w odmę.

— Panie Wójcik — szepnął Stoczek w imieniu Pakusiewicza — Smarkaczom się czasem w głowie przewraca...

— A ja zwracam uwagę — przywołał sprawę do dawnego porządku pan Pakusiewicz — że panowie niepotrzebnie poruszacie takie kwestie. Koniec, kropka. — I tutaj zbyteczną dyskusję zamknął wymowny gest dłoni: cięcie jak nożem. Nic dziwnego, że nastała cisza, że Wójcik wrócił do gazety, Pyrkowski do drzemki, zaś pan Pakusiewicz pośliniwszy wskazujący palec zaczął na swoich kolanach układać warkocz pasjansa.

I wtedy to właśnie po raz pierwszy okazało się, że nie można żyć na tej sali bezkarnie, w sposób niezależny czy samodzielny. Wiktor z zasady podkreślał swój życzliwy, wyrozumiały, ludzki stosunek do słabości towarzyszy. On podług nich był jeszcze po stronie ludzi nieludzko zdrowych i chciał być po tej właśnie stronie. Tak mówił.

Ale tym razem zabrakło już na moment odwagi. Wiktor nachylił się do uszu Henryka.

— Bydlęta — szeptał — świnie. Zaczynam rozumieć, że jestem bardziej chory niż tamci razem wzięci, a oni? Żeby choć jedno przyjazne słowo, żeby...

Urwał. Jednak to, co zostało powiedziane, wystarczyło Henrykowi — wystarczyło im obu. Henryk szybko ujął Wiktora za rękę. Była chłodna i wilgotna.

— Słuchaj — rzekł — co cię obchodzą?

Wiktor zaśmiał się i cofnął dłoń. Wzruszył też ramionami.

— Może Wójcik ma rację... Odma? I tak życie nic nie warte.

No tak — następnego dnia wszyscy wrócili już do równowagi, czyli do dawnych symulanckich sposobów. Wiktor zaś chcąc zatrzeć ślady wczorajszego niepokoju przekornie patrzył na wykres temperatury.

— Trzydzieści siedem, cztery? Śmieszne. Czuje się zdrowszy niż wy wszyscy razem.

Henryk i Fedkowicz pokiwali głowami, zaś Rutkowski dziarsko przytaknął. Ale faktem jest, że Wójcik dosłyszawszy uwagę Wiktora zaśmiał się — dosłownie — w kułak. Potem zaś przyszły czwarte i piąte zdjęcia rentgenowskie.

W trzeci dzień po czwartym zdjęciu Henryk zastał przy łóżku przyjaciela pana Pakusiewicza. Pan Pakusiewicz siedział na krześle, za jego prawym ramieniem stał uśmiechnięty, zacierający pulchne łapki pan Stoczek. Wiktor zaś, choć leżał jak zwykle, to jednak w jego pozie widziało się zamiar uwagi, nawet szacunku. Henryk przedstawił się tamtym dwom bez podawania dłoni i stanął w nogach łóżka — na uboczu i właściwie poza zasięgiem rozmowy. Oczywiście musiał to uczynić — pan Pakusiewicz nie zniósłby zbyt wyraźnej obecności przybłędy, który nie potrafi ani ocenić, ani zrozumieć sensu prowadzonej rozmowy.

Jerzy Broszkiewicz
rysunki: **Marii Hiszpańskiej**

TADEUSZ PEIPER

Lope de Vega w „Owczym Źródle"

Lope de Vega, jeden z geniuszów dramatu europejskiego, przemówił nareszcie ze sceny polskiej. Spychany w mrok przez Calderona, którego wiódł za rękę Słowacki i którego wprowadził na zawsze w polskie widnokręgi, nie zdobył Lope de Vega scen polskich, nie zdobył ich w ciągu trzech stuleci.

Czy zdobędzie je „Owczym Źródłem", tego na razie przesądzać nie można. Niezależnie jednak od losów, jakie czekają u nas to dzieło, ten kto miał możność poznania jego twórcy z tekstów hiszpańskich, musi rozgłaszać jego wielkość, a „Owcze Źródło" podawać jako jedno z dzieł pomnikowych.

Do tych ocen, którym narzucają ogólnikowość nieubłagane granice tygodnikowego artykułu, dobrze będzie nie dodawać ogólnikowości informacyjnej. Zamiast skakać oczyma po całości dzieła, lepiej przyjrzeć się kilku jego wykrojom.

Wykrawamy!

I

Nowatorstwo Vegi dochodzi do głosu m. in. w tym, że już trzysta lat temu za bohatera obrał gromadę, że wprowadził ją w kontakty i konflikty z dwoma innymi obozami społecznymi, że bieg akcji uczynił zależnym od przeżyć nie tylko postaci pierwszoplanowych, że nawet postać epizodyczną przetworzył w ważny czynnik akcji (Hiacynta).

To niezwykłe na owe czasy pojmowanie dramatu łączyło się u niego z intencją rozszerzenia idei naczelnej. W tak pojmowanym dramacie walka z okrutnym Gomezem mogła otrzymać teren szerszy, mogła być walką nie tylko o kobiety, lecz rozróść się w walkę z krzywdą chłopską w ogóle.

Wśród krzywd, które spadają na kobiety, dokonują się krwawe chłosty mężczyzn. Jedno i drugie stawia przed oczyma mieszkańców szeroki obwód chłopskich cierpień. Na potajemnej naradzie chłopów pada już głos, który obok ran zadawanych honorowi stawia szkody wyrządzone życiu, pada inny głos, który mówi o niszczeniu chłopskich domów i plonów i jeszcze inny głos, który piętnuje łamanie chłopskich praw, przejawione w roztrzaskaniu sędziowskiej laski wójta, i jeszcze inny, który położenie chłopów nazywa gorszym od położenia niewolnika, i jeszcze pada zdanie, że nikt bez wyjątku od tych krzywd nie jest wolny. A okrzyk buntu ma adres w liczbie mnogiej: „śmierć tyranom"! Tak to sprawa przestaje być sprawą jednostek, a staje się sprawą wszystkich, i przestaje być sprawą o kobiety, a przechodzi na teren rozszerzony, obejmujący całe życie chłopskie.

II

Następuje jeszcze dalej idące i o wiele śmielsze rozszerzenie. Dokonuje się — poprzez dowcip. Działają usta wiejskiego mędrca, Menga.

Okrzyk zbuntowanych chłopów: „Niech żyją królowie katoliccy, niech giną tyrani!" On wznosi okrzyk inny, oryginalny dzięki zawartemu w nim nowotworowi językowemu. Niełatwo dla tego nowotworu znaleźć odpowiednik polski. Próbny przekład mógłby brzmieć tak: „Niech żyją królowie chrystianiczni, niech giną tyraniczni"! Pozornie jest to nieważny żart, ale w rzeczywistości ukrywa się w nim myśl zasadnicza. Podczas gdy inni całkowicie oddzielali królów od tyranów, dowcipniś nie wyklucza istnienia królów-tyranów. Mało tego. Nie wznosi on okrzyku na cześć królów katolickich, lecz myśli o królach miarami chrystianizmu. Mało i tego. Nie chce on posługiwać się słowem „chrześcijański", bo chce zaznaczyć, że nie chodzi mu tylko o chrzest, o wyznanie, o rubrykę personaliów związaną z pochodzeniem, ale chodzi mu o przymioty duszy, o cnoty życia, o prawdziwie chrześcijańską sprawiedliwość rządów i sądów. Dla uwolnienia swojej myśli od słów obiegowych czuł potrzebę znalezienia nowego słowa. Tak wynalazł słowo: „chrystianiczny". Analogiczne motywy kierowały nim przy użyciu słowa „tyraniczny".

Także przyczynę buntu chłopskiego ujmuje Mengo głębiej i ogólniej, niż to czynią inni. Chłopi umówili się, że na pytanie sędziego śledczego, kto zabił komandora, dawać będą wszyscy jedną odpowiedź: „Owcze Źródło". Nazwa rycerskiej posiadłości, podawana za sprawcę zabójstwa rycerza, miała sprawić, że odpowiedzialność spadnie na wszystkich, a kara albo na wszystkich, albo na nikogo. Mimo okrutnych chłost, mimo setek batów wymierzanych badanym, wszyscy solidarnie dają umówioną odpowiedź. Chłoście Menga poświęca autor więcej uwagi niż innym. Chłopi stojący pod ratuszem oczekują z naprężeniem i lękiem, jak zachowa się Mengo. Jest taka chwila, że Mengo zapowiada, iż da odpowiedź. I daje odpowiedź godną jego osobowości: komandora zabiły Owcze Źródła. Zastrzeżenie: taki jest sens jego odpowiedzi. W rzeczywistości brzmi ona inaczej, ma znowu oryginalność i żartobliwość dowcipnisia, znowu zawiera w sobie nowotwór słowny i tym razem jeszcze trudniejszy do przełożenia. Gdyby chcieć dać o nim wyobrażenie, trzeba by z przymiotnika „owczy" utworzyć słowo, które by było czymś w rodzaju naukowego terminu, określającego owczość jako zjawisko życiowe występujące w stosunkach między krzywdzonymi a krzywdzicielami, bo Vega nadaje przymiotnikowi kastylskiemu (ovejuna) zakończenie łacińskie (ovejunica). Jako próbny polski odpowiednik, niech nam Owcze Źródła swą liczbą mnogą zastąpią żart Menga rozszerzający i pogłębiający sprawę, która jest treścią dramatu. Dzięki ujęciu Menga sprawa wychodzi poza obręb jednej miejscowości, staje się zjawiskiem społecznym — ogólnym. Że Vega przywiązywał do tego rozszerzenia zjawiska wagę, tego dowodzi nie tylko wyjątkowy sposób, w jaki wprowadza żart Menga po raz pierwszy, ale i powtórzenie tego żartu, i to w momencie, który sprawę dochodzenia przyczyn buntu i zabójstwa zamyka ostatecznie. Dowcipy Menga oryginalne, wiele znaczące, rozwieszają swe hasła nad całym utworem.

III

Trzeba było śmiałości nie lada, żeby w ówczesnej epoce kazać ludziom na scenie mówić i działać tak, jak to uczynił twórczy rozkaz Vegi. Szczególnie uogólnienia i hasła Menga mogły wydać się niebezpieczne. Głowa autora narażona była na uderzenia gromów.

Salwował się Vega różnymi metodami. Jedną z nich było powierzenie najbardziej zasadniczych idei ustom dowcipnisia i przekreślenie tych ust nieszczerą kreską, mającą oznaczać lekceważenie. Wszystko, czego Vega użyczył Mendze, czyni z niego osobowość wysoce interesującą, myślącą głęboko, ale ponieważ niektórym widzom mogła wydać się groźną, stara się Vega wmówić w nich, że Mengo nie umie nawet czytać. Podobnie postępował Szekspir, gdy ludzi ludu, wypowiadających gorzkie a głębokie prawdy, czynił pozornymi głupcami i kazał im mówić mądrości tak „głupio", że stawały się one nie łatwo uchwytne, przynajmniej jako przewinienia wobec rządzących. Ta metoda odwraca uwagę od fundamentalnych idei autorów, a równocześnie pozwala fundamentalności zaznaczać.

Inną metodą Vegi jest demonstracyjne wiwatowanie na cześć pary królewskiej. Każdy okrzyk przeciw tyranom równoważony jest okrzykiem na cześć tronu, a ważenie dokonuje się na wadze przeczulenia. Nie dość tego. Vega czyni zwalczane przez siebie siły społeczne wrogami pary królewskiej, tak że okrzyk „Precz z tyranami" znaczy równocześnie „Precz ze zdrajcami"! Podobnie Molier postąpił w „Tartuffie".

Mimo wrzasków na cześć Ferdynanda i Izabeli, postaci ich otrzymały w „Owczym Źródle" rysy, z których niektóre ujawniają, że wyszły spod ręki rysownika krytykującego portretowanych. Nie uszło to uwagi. Znamienne są skutki tego nawet w niektórych wydaniach utworu. O, w tym właśnie, z którego korzystam, „Biblioteka autorów hiszpańskich", wydawnictwo, które publikuje wszystkie reprezentatywne utwory od uformowania się hiszpańskiego języka aż do naszych czasów, w wydaniu „Owczego Źródła" z 1884 dołącza do jednego z krytycznych oświetleń Izabeli i Ferdynanda odsyłacz podający w wątpliwość autorstwo Vegi co do niektórych wierszy utworu. Hiszpania monarchistyczna nie chciała mieć przeciwko sobie autorytetu wielkiego poety.

Umieścił Vega swój dramat w czasach oddalonych o sto lat od czasów, w których żył, umieścił go w czasach Ferdynanda i Izabeli, Królów Katolickich. W związku z takim umiejscowieniem w czasie wprowadził też temat żydowski, ale — jak gdyby sto lat po wygnaniu Żydów z Hiszpanii, temat ten zatracił swą ostrość — wprowadził go łagodniej: Żyd pojawia się tutaj jako przenośnia oznaczająca nie Żydów, którzy uwodzą, wprowadzając w błąd, oszukując. Jedna z dziewcząt mówi o mężczyznach, że są jak wróble, które w zimie, gdy pola są mrozem ścięte, zbliżają się do domostw, siadają na dachach, zbiegają na stoły dla dziobania okruszyn i ciągle mówią: „twój, twój", — lecz później, gdy mróz minie i zaczną kwitnąć pola, zapominają o otrzymanym dobrodziejstwie, trzymają się z dala, a jeśli na dachach usiądą, mówią: „Żyd, Żyd". Takim porównaniem składa Vega trybut wymogom epoki, którą przedstawiał.

Taktyka Vegi dowodzi, jak bardzo leżała mu na sercu sprawa krzywdy chłopskiej. Użył wyrafinowanych metod, aby w skrępowaniu, w jakim pisał dokonać luzów, które by mu pozwoliły krzyknąć: „Precz z tyranami!"

IV

Nie można w pełni docenić Vegi jako autora „Owczego Źródła", jeśli nie uwzględni się osamotnienia, w jakim sprawę podjął. Utwór mówi nam o tym osamotnieniu, mówi nam o nim mową porozumiewawczą.

W czasie ślubnych godów Laurencji i Frondosa śpiewają muzycy pieśń znamienną. Brzmi ona jak stare hiszpańskie romance, w pięknie nie ustępuje najpiękniejszym, ma w sobie uwodzicielstwo rytmu i akcji, podnieca wyobraźnię i rozmarza. A treść jej? Niech tu się pojawi ze wszystkimi szczegółami. I ze ściśle podaną linią myśli. A więc niech się pojawi cała w przekładzie prozą:

Z Owczego Źródła zbiega w dolinę dziewczyna z włosem rozwianym. Ściga ją rycerz, krzyżowy rycerz, Calatravy. Zawstydzona i niespokojna, szuka kryjówki wśród gałęzi. Udając, że go nie widziała, umieszcza gałęzie przed sobą.

Czemuż się ukrywasz, dziewczyno urocza? Przecie bystre pragnienia przechodzą przez ściany.

Zbliżył się rycerz, a ona, zmieszana i niespokojna, chciała ze splecionych gałęzi uczynić zasłonę. Lecz ten, kto kocha, łatwo przebywa góry i morza. Więc takie jej mówi słowa:

„Czemuż się ukrywasz, dziewczyno urocza? Moje bystre pragnienia przechodzą przez ściany".

Pieśń jest osnuta na zdarzeniach dramatu, w który jest wprowadzona. Szczegółowe jednak zestawienie daje niespodziewane wyniki. Czytelnicy niech się nie lękają, nie przyjdzie nic pedantycznego. Są tu sprawy, które autor zasłonił firanką koronkową, a my ją będziemy przezierali. Taka ciekawość zbliży nas do poety, ujrzymy jego brwi, myślą i gniewem zsunięte, i usłyszymy jego osamotnione serce.

Cóż romanca mówi o dziewczynie? Że zbiegła, że z rozwianym włosem, że wśród gałęzi, to wszystko jest jasne, ale jest jeden szczegółik, niepowiedziany wyraźnie, i nad nim właśnie warto się zatrzymać. Dziewczyna umieszcza gałęzie przed sobą. A to znaczy co? To znaczy, że na rycerza patrzy. Przypatruje mu się. Zaciekawia ją. Chce go widzieć niewidziana. Chce go widzieć, a udawać że nie widzi. Dopiero gdy rycerz stanął blisko niej, czyni z gałęzi zasłonę. Opada ją lęk. Często się boi? Bardziej samej siebie niż jego. Boi się, że może jej się spodobać.

A rycerz? Romanca mówi o nim tylko to, co podaje jako wspólną cechę wszystkich kochających. Z tego ma wynikać, że rycerz kocha i że dla miłości gotów jest przewędrować góry i morza, że dla spełnienia swych bystrych pragnień umie przechodzić przez ściany.

Dziewczyna romancy ma wiele z tego, co zauważamy w dziewczynie „Owczego Źródła" w pierwszej fazie jej stosunku do Gomeza. Oba utwory analogicznie podają dziewczynę, jak długo ma w sobie pierwsze zaciekawienia rycerzem i pierwsze niepokoje uczuć. Ale rycerz od samego początku przedstawiony jest inaczej. Nie znajdujemy w romancy nic z tego, co sami widzimy w pierwszych zaraz procederach przedsiębranych przez Gomeza w stosunku do Laurencji. Co najwyżej moglibyśmy w „przechodzeniu przez ściany' dopatrywać się aluzji do niektórych z tych procederów, ale romanca czyni z „przechodzenia przez ściany" metaforę, która okrutne agresje otula opiekuńczo w poetyczność i umieszcza obok takich dróg miłości jak przebywanie gór i mórz. W tej metaforze i w jej sąsiedztwie znika całkowicie bestialstwo i oszustwo, z jakim połączone było rycerskie przezwyciężanie ścian. Że autor romancy nie chce widzieć rzeczywistości i że nie chce mówić o niej prawdy, to ujawnia także fakt urwania jej w momencie, w którym postać dziewczyny ma wejść w inną fazę. Nie jest w romancy powiedziane, co dziewczyna musiała przecierpieć, ile hańby znieść, i nie jest powiedziane, jak jej zaciekawienie rycerzem i jej uczucie dla niego przemieniły się w nienawiść i w jaką nienawiść. O tym wszystkim — milczenie.

Zatem:

Różnice między romancą a rzeczywistością dramatu krzyczą o nierówności w traktowaniu wiejskiej dziewczyny i rycerza, o wykorzystywaniu uczuć chłopskich dla tworzenia fałszywego obrazu, o poetyzowaniu rycerskich okrucieństw, o przemilczaniu chłopskiego przeciwstawiania się okrucieństwom — o tendencyjnej idealizacji.

Nie może ulegać wątpliwości, że wprowadzoną pieśnią zaatakował Vega stosunek poetów do ówczesnej rzeczywistości. Wymyślnie i złośliwie postawił obok siebie to, co dzieje się w życiu, i to, co z tego robią poeci, i uwypuklił tym swój los osamotnionego rozdzieracza fałszów.

V

Znajdą się tacy, którzy tej interpretacji przypiszą dowolność, przypiszą jej naginanie autorskich intencyj do nie dających się sprawdzić przypuszczeń. Ale cóż, kiedy utwór ma inne jeszcze miejsce dowodzące jej słuszności. Leonello!

Ten student z Salamanki, poprzez którego godzi Vega w pisarzy, staje nagle wobec konfliktu między komandorem a chłopami. Gdy przeciw obelgom komandora popieranym powoływaniem się na Arystotelesa, przeciwstawia wójt twierdzenie, że ludność Owczego Źródła jest pierwszorzędna, Leonello reaguje na to gniewnie: „Czy widział kto równą bezczelność?" Gdy komandor spędza z placu wszystkich, a dla Leonella nie czyni wyjątku, reaguje on na to westchnionym pytaniem: „Niebo? Niebo! I to przychodzi ci znosić?" Do tego ograniczają się reakcje przyszłego pisarza na zniewagę i krzywdę.

Inaczej postępuje on sam. Inaczej utworem swym mówi i działa. Ta inność, którą sam postarał się zaznaczyć, jest właśnie jego osamotnieniem w idei i w odwadze.

VI

Ponosił konsekwencje tego osamotnienia. Wtajemnicza nas w to. W tym właśnie utworze!

W rozmowie, prowadzonej z jednym z mieszkańców Owczego Źródła, wypowiada Leonello ujemny sąd o skutkach wynalazku druku. Na samym końcu swego wywodu informuje nas, że osobniki, w których tkwi niska zawiść, wydają drukiem „szalone bzdury" pod nazwiskiem tego kogo nienawidzą.

Rozmowa ta nie ma najmniejszego związku z akcją dramatu, może mieć związek tylko z autorem dramatu. Otóż to! Musiał sam Vega być ofiarą fałszerstw swojego nazwiska! Z informacji Leonella przez nas z siłą przemożną oskarżenie Vegi we własnej sprawie.

To, że tę informację umieszcza właśnie w tym utworze, tak wyraźnie uprofilowanym ideowo, pozwala przypuszczać, że uważał za wskazane ostrzec, iż dokonywane na nim fałszerstwa mają przyczynę w jego ideach. Mówi wprawdzie, że motywem fałszerstw jest niska zawiść, ale podanie takiego motywu podszepnęła mu zapewne taktyka, doradzając wstrzymanie się od zbyt jasnego stawiania sprawy. Zresztą niska zawiść mogła działać także, ale w tym znaczeniu, że idee, jakich Vega bronił, przysparzały mu więcej zwolenników i wielbicieli, niż to było wygodne pismakom i ich protektorom.

VII

W utworze, tak bogatym w treść, znajdujemy jeszcze jeden klejnot: wyznanie poety o swym sercu.

Wyznanie dokonuje się chłopskimi ustami wsiowego mędrca Menga.

DEKLARACJA

Zgłaszam się na członka Klubu Literackiego „Odrodzenia" i zobowiązuję się do płacenia abonamentu za książki w kwocie zł 1.800 rocznie, płatnych po 150 zł miesięcznie lub po 300 zł co drugi miesiąc lub po 900 zł półrocznie (niepotrzebne skreślić).

Moje prawa i obowiązki są mi znane.

Imię i nazwisko .....

Adres .....

(podpis)

Wyciąć, nakleić na kartę pocztową i przesłać pod adresem: Warszawa, Daszyńskiego 14, Klub Literacki „Odrodzenia".

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca

9)

Dzieci zbiły się w gromadkę, prędko dreptały po stoku, jedna z dziewczynek zaczęła płakać. Celinka wzięła ją na ręce. Tadek spojrzał za siebie: niebo czyste, ostatni dym spychany za górę płaską w słońcu. Ani jeden strzał nie padł więcej.

Gdy weszli na ścieżkę, dojrzeli Niemców kręcących się na podwórzu. Któryś z nich niósł na plecach pękaty worek.

— Tadziu, może byś lepiej nie schodził? Nie wiadomo po co przyjechali? Jakeśmy ich mogli nie zauważyć?

— Dzieci wrzeszczały. Co mi Niemcy zrobią? To przecież Wehrmacht, nie będą mi kenkarty sprawdzać! Daj mi małą, pomogę ci...

— Już się w powietrzu czuje, jak będą wiać — szepnęła poruszając ścierpniętą ręką — Takaś malutka i tyle ważysz — pogroziła palcem dziewczynce, która zwiesiła głowę i tępo ponad ramieniem Tadeusza wpatrywała się w krawędź lasu i ślady wydeptane na śniegu.

— Myślę — skończyła — że Batog przywiezie rozkaz uderzenia!

— Od rozkazu do uderzenia daleka droga...

— Parę godzin wystarczy. Co teraz robisz?

— Muszę się pokazać sędziemu w bibliotece, niewiele tam robię ale darmo nie będzie mnie żywił, muszę szanować pozory.

— Tadek, musisz się dziś urwać! Myślę, że powinniśmy przetrzeć broń bo wazeliny na palec grubo... Jak przyjdą chłopaki nie będzie czasu czyścić.

— Wiesz gdzie jest skład?

— Pewnie. Sama pomagałam wnosić! Zapędzimy dzieci do sali, niech się bawią, a my nura... Co, dobrze?

— Daj spokój! Teraz! Zwariowałaś! Patrz, nowych diabli przynieśli!

Konie chwiały łbami w stromym podejściu, gromadka jezdnych otaczała prowadzonego w środku.

— Chodźmy prędzej! Zdaje się mają jeńca!

Pobiegli parę kroków. Między końmi szedł Rosjanin. Dzieci przy-

stanęły, patrzyli na niego wszyscy z napięciem i ciekawością. Pierwszy — jakiego widzieli. Był w watowanej bluzie i portkach, na nogach miał walonki. Szedł z gołą głową, ostrzyżoną jak u rekruta. Twarz miał spokojną, mimo bladości przyciemniałą od słońca i dymu. Mijając dzieci, zwrócił ku nim oczy obojętne, jakby senne. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Koło nozdrzy i na górnej wardze czerniała przyschnięta krew.

Lewą rękę o dłoni napuchniętej, fioletowej, podtrzymywał prawą, kolebał uważnie jakby usypiał niemowlę.

Niemcy jechali stępa, konie były zdrożone. Spocona sierść zasychała na nich zmierzwionymi kłakami. Kopyta ostro zaklekotały, oddało echo sklepionej bramy. Jeźdźcy kołysali się leniwie w siodłach.

— Co oni z nim zrobią? Czy to Rusek? — dopytywały się hałaśliwie dzieci.

— Nie wiem, nie mogą mu nic zrobić, to jest jeniec... Rosjanie pewnie też dosyć Niemców zgarnęli, muszą się z tym liczyć — prowadzą go do niewoli — tłumaczyła malcom.

— A ja myślę, że go przesłuchają i rozwalą. Tak przynajmniej z naszymi robili — mruknął Tadek, zaciskając pięści.

Skręcili w podwórze. Z boku, parę kroków od stajni leżały dwie zarżnięte krowy. Niemcy przepasani zamiast fartuchów pokrwawionymi workami, zdzierali właśnie skórę. Kupy flaków dymiły, a krwi rozlanej było tyle, że rozmokły śnieg ciapkał pod butami zbrojnych rzeźników.

Drzwi do domu były otwarte szeroko, Niemcy wchodzili i schodzili, jak przy przeprowadzce leżała słoma, nie wiadomo skąd natrzęsiona.

Kilka koni pod szopą obrokowano pszenicą grubo sypniętą do balii. Chrzęściło ziarno w końskich pyskach.

— Nie będą tu długo — szepnął Tadek do Celinki — popatrz, nawet ich nie rozsiodłali.

Jeden z koni pochylił łeb i wyszczerzywszy zęby czochrał się po nodze. Reszta dzwoniła wyjętymi wędzidłami i kuliła niespokojnie uszy.

— Nie podciągnęli telefonów... Odjadą na pewno!

— A wtedy my, do roboty! — uśmiechnęła się Celinka. — Mówię ci, będziemy mieli dziś gorący dzień!

— No, zabieraj dzieci, nie mają na co patrzeć!

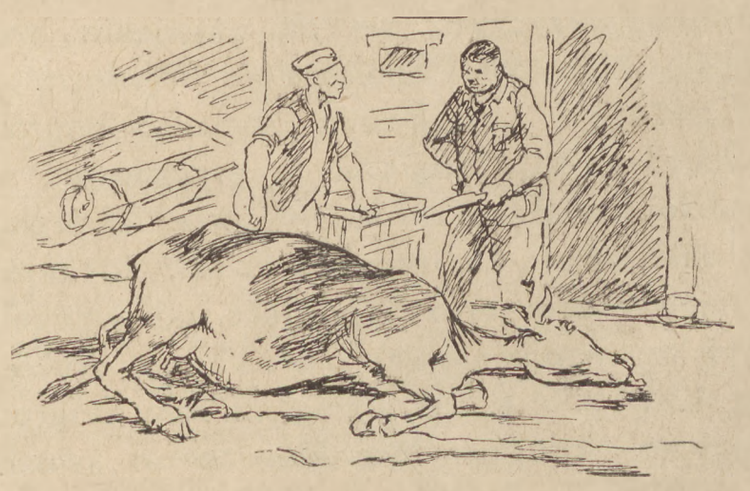

— Chodźcie na salę! — zawołała. — A ty Gabryniu, jak chcesz, możesz iść do mamusi! Czego płaczesz?

— Bo nasze krowy... — powiedziała pakując sobie pięść do oka i mocno ścierając łzy. — Wczoraj już tak myczały... Pewnie wiedziały, co je czeka.

Niemcy oglądali się, gdzieby kadłuby krowie zawiesić, niewygodnie było przetaczać je po śniegu, w krwawym błocie. Powlekli jedną z krów pod szopę. Konie zwęszywszy juchę przestały żuć, stały napięte, gotowe do ucieczki. Gdy Niemcy przerzucili sznur przez belkę i dźwignęli kadłub, śliskie mięsiwo obsunęło się i plasnęło o kamienie.

Jeden z żołnierzy, który klął głośno i spluwał, dojrzawszy złośliwy uśmieszek na wargach Bukowskiego, przywołał go ostro i kazał uprzątnąć flaki z podwórza.

Tadeusz podszedł niechętnie, zaraz bardziej zaczął utykać. Julka, która stała dotąd na progu obory, jakby gotowa własną piersią bronić reszty krów, wytarła nos w palce, strzepnęła łzawą wilgoć i podjechała z taczkami.

Gdy strząsnęli flaki obróciwszy po raz drugi na gnojowisko za stajniami, stado wron zwęszyło krew, zerwało się z Kułaka i zaszumiało taką gęstwą skrzydeł, aż cień padł na zmarznięty śnieg podwórza. Sypało się ptactwo, niknąc za krawędzią dachu. Kawki obsiadły nawóz i dziobały chciwie, dławiły się wlokąc jelita. Wielkie lśniące gawrony tłukły skrzydłami, sucho chrapały zaparte w ścierwo pazurami.

*

Niemcy oglądali zamek, wybierali pokoje. Sędzia szedł z nimi, wyprostowany, jakby bardziej chudy i odpowiadał oschle. Obaj oficerowie byli w czapkach okrągłych, dzwonili ostrogami. Na mundurach znać było nieuchwytne zaniedbanie. Niemcy, mimo wygolonych twarzy, wyglądali na zgonionych i niezbyt pewnych siebie. Sędzia czuł w ich stąpaniu niecierpliwość i pośpiech, pozwalał więc sobie na ton pełny urazy, gdy wypytywali go o ustępy i wodociąg.

— Te trzy pokoje — machnął ręką hauptman — zaczynając od gabinetu, da się łatwo wydzielić... Wartownik stanie na korytarzu, żeby mi się nikt nie kręcił.

— Nie dobrze, że zamek w dole. Nic stąd nie widać — wskazał przez okno leutenant. — Wygoda tylko z wyżywieniem, mięsa dosyć. Dwie krowy dziennie wystarczą.

— Tam, gdzieśmy przed chwilą byli, w sypialni dla dzieci jak pan mówił, można tymczasem złożyć rannych...

Sędzia wcisnął monokl w oko i odchyliwszy głowę spojrzał z góry na Niemców.

— Panowie zdaje się nie biorą nas zupełnie w rachubę, a gdzie my się mamy podziać?

— Właściwie powinniśmy wszystkich usunąć tylko względ że pan nie może z bolszewikami sympatyzować, łagodzi przebieg naszych przygotowań...

— Czy Rosjanie nam już bezpośrednio zagrażają?

ga. Dokonuje się przez porównanie obfite i skomplikowane:

Jak uliczny buniulero, smażący kawały ciasta na oliwie wypełniającej kocioł, wyjmuje z kotła ciastka, z których jedne są dobrze usmażone, a drugie przypalone, jedne prawidłowo napęczniałe, a drugie niekształtne, jedne proste, a drugie krzywe, jedne udałe, a drugie nie, tak samo poeta, gdy komponuje swój materiał, swoje ciasto, może mieć albo sukces, albo niepowodzenie. Jeśli szybko rzuca na papier wiersze pulchne od żartu i śmiechu, może być pewien, że wydadzą się one ludziom słodkie jak miód, jeśli zaś jego wiersze powstają nie na papierze, lecz w piersi, lecz w sercu, niewiele jest takich, którzy je spożyją, i ich zawartość wysmakuje tylko sam poeta.

Nie może ulegać wątpliwości, że Vega mówi tu o samym sobie, o własnej doli autorskiej. Podaje przyczyny swych sukcesów i przyczyny niepowodzeń, wyznaje swój stosunek do nich. Ból swój wyznaje. Wyznaje go ustami uśmiechniętymi. Tymi uśmiechniętymi ustami, według których urobił usta wiejskiego mędrca, Menga.

VIII

Informacja Leonella o fałszowaniu autorskiego nazwiska, a w wielkiej mierze także wypowiedź Menga o poecie, to literackie dygresje. Takie, jakie w przyszłości pojawiają się u Byrona w „Don Juanie", i u Słowackiego w „Beniowskim". Niech historycy literatury orzekną, czy i w tym był Vega pierwszy. Tutaj ważność ma to, że dygresje „Owczego Źródła" wprowadzają nas w krąg ostrych walk, w jakim przyszło Lopemu Vedze pisać i działać. Może uniemożliwiono mu pełną i skuteczną obronę, skoro widział się zmuszony wnieść ją we wnętrze dramatu.

Oskarżenie, wyzierające z informacji Leonella, i ból, niedbale uśmiechający się w wypowiedzi Menga, jeśli wgłębimy się w nie, jeśli damy im naszą wyobraźnię i siłę wnioskowania, podbiegną ostrzegawczo pod sądy, z których biografowie urobili postać Lopego Vegi, zbyt łatwowiernie posługując się „relacjami" i „dokumentami". Wniknąwszy w „Owcze Źródło", opieramy się przekazanemu nam obrazowi. Trudno nam przyjąć biografie, w których nawet wygnanie z Madrytu i wygnanie z Kastylii wygląda na piołun z dna kielichów. Życie poety, podawane w rysach awanturniczości, było zapewne ściśle związane z całą jego filozofią życia, a wrogowie tej filozofii korzystali zapewne z jej buntowniczych przejawów, aby wszystko co ona w sobie mieściła, oszczerstwem i fałszerstwem przeinaczyć.

Ostrożnie trzeba osądzać człowieka, którego jedni pogrzebali tak nienawistnie, że nie jest znane miejsce, w którym spoczęły jego zwłoki, a inni ubóstwiali z taką miłością i z takim uwielbieniem, że myśleli o nim modlitewnie: „Wierzę we wszechmocnego Lopego Vegę, poetę nieba i ziemi".

Tadeusz Peiper

Z czeskich czasopism literackich

ROCZNICA BEZRUCZA I SPRAWA REALIZMU

Nie wszystkie czeskie pisma literackie zamknęły rok wydawnictwa z rokiem kalendarzowym. Nie uczynił tego jeszcze wychodzący stosunkowo najregularniej „Kriticky mesicnik" a i „Kytice" ze znacznym opóźnieniem zakończyła rocznik podwójnym numerem za listopad i grudzień 1947. Stałe, czasem nawet poważne opóźnienie poszczególnych zeszytów miesięczników literackich przypisuje się trudnościom technicznym i zahamowaniu w dostawach papieru.

Nr 11/12 „Kytice" w połowie poświęcony jest Piotrowi Bezruczowi, który we wrześniu obchodził 80-lecie urodzin. Pod pseudonimem tym zasłynął w ostatnim roku XIX i pierwszych latach XX wieku skromny urzędnik pocztowy rodem z Opawy, Vladimir Vaszek, który jeszcze przed książkowym wydaniem swych wierszy zwrócił na siebie powszechną uwagę i stał się pewnego rodzaju sensacją literacką, tym większą, że aż do r. 1907 udało mu się zachować w tajemnicy prawdziwe nazwisko i miejsce pobytu. Bezrucz jest pierwszym piewcą ziemi opawsko - cieszyńskiej, chwalcą jej uroków i piękna, a przede wszystkim wyrazicielem jej problemów społecznych i narodowych. Do literatury wszedł właściwie jedną tylko książką: zbiorem wierszy społecznych, liryków i ballad pt.: „Śląskie pieśni", które na przestrzeni lat 1903—1937 rozrosły się w kolejnych wydaniach do tomu obejmującego 82 pozycje. Trzy inne jego publikacje nie mają już większego znaczenia. Ten zbiór wyniósł go na szczyty sławy, uczynił narodowym poetą czeskim, które to stanowisko umocniło po ostatniej wojnie nadanie mu przez państwo tytułu „artysty narodowego". Prócz doskonałej, oryginalnej formy poetyckiej wierszom Bezrucza sławę i uznanie zdobyła ich treść społeczno-narodowa, ich antykapitalistyczne i antyniemieckie tendencje. Dziś Bezrucz uznany jest przede wszystkim za wielkiego prekursora czeskiej poezji społecznej, która rozwinęła się zwłaszcza po r. 1918, i za artystę, którego skromna ilościowo twórczość zajmuje poważne miejsce w rozwoju formy poetyckiej. Wokół tych dwu problemów skupiała się też uwaga wszystkich, którzy tak wiele pisali o Bezruczu w ostatnich miesiącach.

Omawiany numer „Kytice" prócz dwóch wierszy do Bezrucza i słabej zresztą prozy, usiłującej dać obraz wpływu Bezruczowej poezji na lud, przynosi studium o poecie pióra J. L. Fischera, który ciekawie i wnikliwie charakteryzuje twórczość „pierwszego barda śląskiego", artykuł Oldrzicha Králika oraz rozprawkę Jarosława Zavady, odsłaniającą bogactwo rytmiczne „Śląskich pieśni".

W numerze tym zamieszczono wiersze aż dziewiętnastu poetów. Obok starszych, jak Franciszek Hrubin czy Franciszek Nechvatal, występują tu przede wszystkim poeci młodsi różnych ugrupowań, m.in.: Ivan Skala, Ivo Fleischmann, Wladyslaw Fikar, Oldrzich Krzysztofek, Vladimír Vokolek. Z tak licznie reprezentowaną poezją łączą się dwa artykuły: Jerzego Hajeka „Droga do syntetycznego realizmu" i A. M. Piszy „Jesień poetów".

Hajek pisze o trzech głównych ugrupowaniach najmłodszych poetów czeskich i mimo różnic, jakie pomiędzy nimi istnieją, stwierdza, że wszystkie one stworzą ostatecznie jeden kierunek poetycki, który nazywa realizmem syntetycznym. Na wstępie charakteryzuje całą poezję czeską, poczynając od Machy (1810—1836), najwybitniejszego romantyka — jako poezję wyrastającą z narodowych i społecznych dążeń narodu czeskiego. Dążenia te w różnych okresach stoją bądź na planie dalszym poszczególnych kierunków i zjawisk poetyckich, bądź wysuwają się silnie naprzód w okresach społecznych kryzysów i katastrof. Tęsknota za nowym, lepszym porządkiem społecznym świata dochodzi zwłaszcza do głosu w poezji proletariackiej po r. 1918. Przyczynę załamania się tego kierunku poetyckiego po r. 1824 widzi Hajek, zgodnie z sądem Szaldy, w tym, że tęsknoty rewolucyjne poetów zawiśły w próżni, nie znajdując odbicia w kształtowaniu się rzeczywistości społecznej. Wynikiem tych rozczarowań była ucieczka do poezji czystej i surrealizmu.

Od kwietnia 1945 sytuacja się zmienia, odrodzona republika zaczyna wprowadzać w czyn społeczne ideały poetów. Nie może to, rzecz prosta, wpłynąć od razu na rozkwit nowej poezji społecznej. Chodzi jednak o fakt szczególnej wagi, że sytuacja wyjściowa tej poezji jest wyjątkowo korzystna a naczelnym jej postulatem jest najściślejszy związek z życiem i nową rzeczywistością społeczną. Ten związek, to zasadnicza cecha i cel realizmu poetyckiego, reprezentowanego wprawdzie programowo przez jedno z trzech głównych ugrupowań młodych poetów (którego teoretykiem jest autor artykułu), ale nie traktowanego przez owo ugrupowanie monopolistycznie. Hajek wskazuje na przejawy podobnych tendencji w innych grupach poetyckich i podnosi ich wartości. Punktem wyjścia i celem syntetycznego realizmu jest nie sam człowiek, ale człowiek i świat, człowiek i jego epoka, człowiek i przyroda, człowiek i jego dzieło. Sztuka zawsze musi uwzględniać te dwa przeciwne bieguny, doszukiwać się związków pomiędzy nimi, odkrywać ich konflikty. Nowa poezja ma realizować ideał zespolenia jednostki ze społecznością. Wąska tematyka starej poezji rozszerza się przez to niepomiernie. Dla poezji nie ma już tematów zakazanych, nie ma tematów, które można by określać jako niepoetyckie. Nie ma też w żywym materiale językowym narodu takich warstw, z których by ta poezja nie mogła czerpać. Obrazowanie przestaje być jedynym czy głównym środkiem wyrazu poetyckiego, metafora jest tylko jednym z ważnych elementów wypowiedzi poetyckiej, służącym jedynie koncentracji, oszczędnemu, plastyczniejszemu i silniejszemu wyrażeniu spraw, które głosi poeta. Rozdział pomiędzy językiem artystycznym, pięknym a językiem komunikatywnym — to nonsens. Znikają też przeciwieństwa między poezją i prozą, zatraca się przykre rozgraniczenie pomiędzy poezją „prawdziwą" a satyrą, persyflażem, pamfletem. „Nowa rzeczywistość człowieka i świata, oto temat i cel nowej poezji" — kończy Hajek.

A. M. Pisza, jeden z wybitniejszych krytyków współczesnych, mający już za sobą 25 lat pracy literackiej, omawia wydane jesienią tomiki poezji Oldrzicha Mikulaszka, Ivana Blatnego i Klementa Bochorzaka. Na wstępie stwierdza on głęboką różnicę, jaka zachodzi pomiędzy młodą poezją czeską po pierwszej wojnie a obecną. Poezja po r. 1918 w swej pierwszej silnej fali była poezją witalizmu. W młodej poezji czeskiej po r. 1945 nie brak wprawdzie akcentów radości i ulgi, ale problematyka jej jest znacznie głębsza, widać w niej usilne poszukiwanie sensu życia, walkę o wiarę w ten sens, dążenie do związku z rzeczywistością, wyrażające się czasem aż naturalistycznym stosunkiem do jej tematyki. To wszystko przejawia się zwłaszcza w surowej, prostej poezji Mikulaszka („Tętna") i bardziej programowej Blatnego („Poszukiwanie dzisiejszego czasu"). Oryginalne choć mało dojrzałe i jednostronne odbicie znajduje w religijnej liryce Bochorzaka.

Omawiany numer „Kytice" poświęcony jest w znacznej swej części młodej poezji, zwłaszcza trzem jej ugrupowaniom: zespołowi „Czerwonego prawa" (Rudé pravo"), „Frontu młodych" („Mladá fronta") i młodych katolików. W pozostałej treści numeru zwraca uwagę dalszy fragment niedokończonego dzieła „Obrazy z dziejów narodu czeskiego", pochodzący z pośmiertnych papierów rozstrzelanego w r. 1942 przez Niemców Władysława Vanczury, najwybitniejszego obok Karola Czapka prozaika międzywojennego dwudziestolecia. „Obrazy z dziejów narodu czeskiego" odznaczone zostały w r. 1947 państwową nagrodą literacką. Inna ciekawa pozycja, to krótkie opowiadanie historyczne Karola Nowego „Czasy gniewu i zła" z okresu kontrreformacji w Czechach.

Zdzisław Hierowski

W NASTĘPNYM NUMERZE:

WACŁAW KUBACKI

CZYM BYŁY WŁOCHY DLA MICKIEWICZA

Czy jesteś już członkiem Klubu Literackiego „ODRODZENIA"?

KONKURS „FILMU POLSKIEGO"

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą zgonu Fryderyka Chopina, przypadającą w roku 1949, P. P. „Film Polski" pragnie uczcić pamięć geniusza narodu polskiego przez realizację pełnometrażowego filmu osnutego na tle jego życia i twórczości.

P. P. „Film Polski" w porozumieniu z Komitetem Wykonawczym Roku Chopinowskiego (1949) ogłasza międzynarodowy konkurs na nowelę filmową, która mogłaby się stać podstawą do opracowania scenariusza długometrażowego filmu, przeznaczonego zarówno dla Polski jak i zagranicy.

P. P. „Film Polski" liczy na pełne zrozumienie wagi podjętego zadania i zaprasza do udziału w konkursie pisarzy, muzyków i wielbicieli wielkiego kompozytora.

1. Konkurs jest otwarty, dostępny dla wszystkich.

2. Uczestnikom konkursu pozostawia się pełną swobodę w wyborze rodzaju utworu filmowego (może to być film biograficzny, bądź oparty na kilku fragmentach z życia muzyka, film osnuty na tle muzyki Chopina itp.).

3. Nowela, o objętości nie mniej niż 30 stron maszynopisu, winna zawierać:

a) streszczenie akcji z uwzględnieniem węzłowych elementów dramaturgicznych,

b) dokładnie opracowaną charakterystykę głównych postaci,

c) kolejność zasadniczych scen i partii dialogowych.

Nowela winna być utworem oryginalnym, a nie przeróbką istniejącego dzieła literackiego lub teatralnego.

4. Jury konkursowe składać się będzie z:
przedstawiciela Min. Kultury i Sztuki;
„ Komitetu Wykonawczego Roku Chopinowskiego (1949);
„ M. S. Z. (Departament Prasy i Informacji);
„ Zw. Zaw. Literatów;
„ Zw. Zaw. Kompozytorów;
„ Zw. Zaw. Realizatorów Filmowych
oraz 3 przedstawicieli P. P. „Film Polski".

5. W wyniku oceny prac konkursowych jury przyzna 3 nagrody:

I-sza — 300 000 — zł.
II-ga — 200.000 — zł.
III-cia — 100.000 — zł.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału niezmiennej sumy nagród między wyróżnionych uczestników konkursu.

6. Wszystkie nagrodzone prace stają się własnością P. P. „Film Polski".

7. P. P. „Film Polski" nabywa prawo przeniesienia nagrodzonej noweli filmowej na film dźwiękowy, zastrzegając sobie prawo wykorzystania jej w całości lub w części.

8. P. P. „Film Polski" rezerwuje sobie prawo zakupu nienagrodzonych prac (honorarium za nowelę wynosi 75.000 — zł.) i wykorzystania poszczególnych części, pomysłów, scen, partii dialogowych zakupionej noweli.

9. P. P. „Film Polski" zastrzega sobie, iż następne etapy pracy mogą być wykonane przez innego autora (scenariusz literacki, scenopis itd.).

10. W wypadku powierzenia autorowi noweli rozpracowania scenariusza, spisana zostanie oddzielna umowa.

11. Ogłoszenie nagrodzonej lub zakupionej pracy drukiem, względnie opublikowanie jej w innej formie (teatr, radio) może nastąpić tylko za zgodą P. P. „Film Polski".

12. Prace należy nadsyłać anonimowo w zapieczętowanej kopercie z napisem „Konkurs Chopinowski" na adres: Warszawa, Puławska 61, Biuro Programowe Naczelnej Dyrekcji Filmu Polskiego. Koperta i pierwsza strona maszynopisu winny być zaopatrzone w godło. W drugiej załączonej i zapieczętowanej kopercie o tym samym godle należy podać imię i nazwisko autora.

13. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 września r. b.

14. Prace będą rozpatrywane w miarę nadsyłania.

15. Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w prasie dnia 15 października 1948 r.

16. W sprawach dotyczących umów z autorami i zakupionych prac obowiązywać będzie Ustawa o Prawie Autorskim i Konwencja P. P. „Film Polski" ze Związkiem Autorów i Kompozytorów Scenicznych „ZAIKS".

K. 28-1

— Tylko lokalne włamanie, właśnie na naszym odcinku... Ale jutro pójdziemy naprzód!

— Więc czy warto w moim domu robić tyle zamieszania? Nie wiem nawet czy panowie zdążą...

Niski leutenant postąpił krok naprzód i uderzył niespodziewanie sędziego w skroń, nie mogąc się zamachnąć, pchnął go w szyję. Monokl jak łza ześliznął się po policzku i rozbryznął z cienkim brzękiem na posadzce. Nahorayski oparł się o ścianę, zasłonił twarz rękami.

Niemiec uderzył raz jeszcze z wyrachowaniem w żołądek. Sędzia stęknął i osunął się na kolano.

— Daj mu spokój, Horst. Idziemy dalej... On na pewno tak nie myślał — powiedział znudzonym głosem hauptman. — No, niechże pan wstaje — zwrócił się do sędziego.

— Wstań i przeproś! — krzyknął leutenant. Nahorayski poczuł, jak mu na czoło występują krople potu. Powoli ciemność z oczu ustępowała, wynurzały się ich napięte nogi w butach z cholewami, szerokie bryczesy, wreszcie dojrzał jasną plamę ręki wyciągniętej ku niemu z lufą rewolweru.

— Już wstaję — wyszeptał. Dźwignął się powoli wsparty o ścianę. — Zaraz panów dalej oprowadzę...

— Najpierw masz przeprosić!

Chwilę stali i patrzyli sobie w oczy, ale tyle było złości w jasnych oczach Niemca, że sędzia pochylił głowę i powiedział:

— Pardon!

— No, więc zgoda już. Porucznik jest trochę zdenerwowany, mamy blisko dobę walki za sobą, więc nie powinien się pan dziwić... Chodźmy dalej...

Sędzia ruszył przodem. Czuł, jak mu policzek nabrzmiewa. Ale bardziej od bólu paliło go upokorzenie i rosła nienawiść z taką siłą, że z trudem się opanowywał, by nie runąć na nich z pięściami.

Ledwie jednak doszli do zakrętu korytarza, wypadł ze schodów podoficer i wywrzeszczał meldunek. Sędzia pochwycił tylko słowo — gefangen.

— Będziesz go teraz przesłuchiwał? — zdziwił się hauptman.

— Spróbuję — zaśmiał się niespodziewanie leutenant — zawsze powinno się próbować! Może z niego coś wycisnę.

— Nie powinien pan brać sobie do serca tego co tu zaszło — zaczął hauptman, gdy zostali sami. Wyjął skórzaną papierośnicę, zapalił papierosa, potem przypomniał

sobie sędziego i wyciągnął ją w jego stronę. — Proszę, niech pan bierze, mam ich dosyć... — Niezrażony odmową zwierzał się. — Sytuacja jest głupia, pan rozumie, musimy trwać do ostatka, ale już człowiek nie ma ochoty dostać kulą przed samym końcem... Niech pan pamięta, my Bawarczycy różnimy się od tych Prusaków... Może byśmy gdzie usiedli? — Powiedział to jednak bez przekonania i przysiadł na parapecie, zakładając wysoko nogę na kolano. Chwilę zamyślony dzwonił palcem w kółko ostrogi. Cienki brzęk irytował sędziego. — To wojna, mój panie — powiedział wreszcie Niemiec — cóż robić. Jedno mogę panu obiecać: nic tutaj nie spalimy, jak będziemy się wycofywać...

Leniwie rozchylił wargi, dym wznosił się wzdłuż twarzy, łagodnie opływał daszek czapki. Sędzia teraz poczuł zadowolenie, obaj Niemcy byli bez hełmów.—To muszą być formacje rezerwowe—pomyślał i to obniżenie ich wartości bojowej przyniosło mu ulgę.

— Czy nie ma jakiegoś sznapsa, napiłbym się — odezwał się Niemiec.

— Mam — poprowadził go sędzia do gabinetu.

Hauptman rozwalił się w fotelu.

— Zamek nie jest żadnym punktem obronnym, niech się pan nie boi... Jeżeli tylko ci przeklęci Bolszewicy nie zbombardują...

Nahorayskiego dławiła nienawiść. Mimo że całą prawdę o Niemcach wiedział, jednak dopiero pod ciosem pięści odsłoniła się dzieląca go od nich przepaść, uwierzył, że mimo pozorów ogłady kryje się w nich nieznana mu dotąd dzikość. Przełykał ślinę. Miała smak żółci. Skroń pulsowała czerwonym światłem, bolało. Patrząc na pijącego oficera, marzył okrutnie — widzieć was wszystkich martwych, ułożonych równiutko na śniegu!—Dopiero teraz, cierpiąc bardziej psychicznie niż od gwiaździście rozchodzącego się bólu, łączył się z mściwymi uczuciami całego narodu.

Na korytarzu rozległ się tupot kroków, trzaskanie drzwiami, jakby ktoś idąc zaglądał do pokojów. Usłyszeli głos leutenanta: — Gdzieś się schował? W tym przeklętym zamku można pobłądzić!

— Tu jesteśmy! — zawołał hauptman. — Niech mu pan otworzy, żeby trafił!

— O, pijesz, widzę... — zaczął leutenant. Nalał sobie uważnie, mocno opierając flaszkę o brzeg kieliszka. Ręce mu drżały. — Jak przypuszczałem, nic nie chciał powiedzieć...

— Więc coś z nim kazał zrobić?

— Powiesić! Prościej było by zastrzelić, ale echo niesie, nie wolno nam się zdradzić.

— Nie będziemy jednego jeńca ciągnąć za sobą, a puścić też nie można — dobrześ zrobił. Trudno, mój panie — bezradnie rozłożył ręce w stronę Nahorayskiego, opartego plecami o okno — wojna ostatecznie polega właśnie na zabijaniu...

✣

Jeńca poprowadzono za wozownię. Rósł tam stary kasztan. Rosjanin oparł się o pień, stał spokojnie, jakby jeszcze nie pojmował co mu grozi. Jeden z Niemców, starszy już człowiek, który od chwili szukał sznura, znalazł w stajni na słupie stare lejce i podbiegał teraz ciężko, potrząsając nimi z daleka.

Drugi rozejrzał się za jakąś skrzynką czy stołkiem, w końcu wzruszył ramionami i przywlókł taczki porzucone przez Tadeusza na gnoju. Gdy schylał się, żeby je podnieść, przestraszone wrony zerwały się chmurą, sucho zachrzęściły pióra, uskoczyły w powietrze i zwijając skrzydła zaczerniały na dachu wozowni. Łaziły po samym skraju, przysiadały, gotowe sfrunąć w każdej chwili na żerowisko.

Młody Niemiec, w za dużym hełmie wciśniętym głęboko, stał za jeńcem z bagnetem na karabinie. Słońce świeciło jasno, niebo było puste i wyblakłe, wymiecione porannym wiatrem.

Ten z karabinem, bardziej ludzki, podał jeńcowi papierosa. Rosjanin wziął go zdrową ręką, obrócił parę razy, jakby zapomniał co się z tym robi, potem wypuścił ze zziębniętych palców. Po chwili jednak schylił się i oprzytomniawszy odpalił. Stał oparty policzkiem o szarawą korę kasztana, patrzył w stronę gór, w ciemny kołnierz

lasu porastający krawędź doliny. Był odwrócony plecami do przygotowań. Przerzucono rzemień przez konar i uwiązano jeden koniec do pnia. Starszy żołnierz pokazał rannemu taczki odwrócone dnem do góry i dopomógł mu stanąć na nich. Z pętlą na szyi jeniec nagle się ożywił, podniósł zaciśniętą pięść i krzyknął: My pabiedili!

Głos rozwiał się nikło w pustce zimowego południa.

Ciało strącone w powietrze, zawisło na moment, ale zetlały rzemień trzasnął i jeniec ciężko upadł na zmarzniętą ziemię.

Niemcy klnąc podbiegli i wiązali lejce pośpiesznie. Postawili rannego na nogi. Przecierał dłonią zdławione gardło. Tym razem już nie wołał. Wyraźnie chciał, żeby z nim szybciej skończyli. Ale połatany rzemień pękł znowu.

Gdy nachylili się nad leżącym, usłyszeli świst, cienką znajomą nutę. Kula uderzyła o mur, miauknąwszy poszła w gałęzie. Potem wysoko z lasu doszło ich puknięcie wystrzału.

— Kończ z nim — powiedział jeden trącając dłonią znacząco pochwę szturmowego parabellum.

— Nie słyszałeś? Nie wolno strzelać, bo pójdziesz pod sąd — odpowiedział ten z chłopięcą twarzą, który częstował jeńca papierosem. — Trzeba to cicho załatwić!

Wbił dwa razy leżącemu bagnet w plecy. Potem wszyscy, spoglądając podejrzliwie na las, chyłkiem wymknęli się między zabudowania, na podwórze zamkowe.

Rosjanin powoli rozprostował zaciśnięte palce. Koło twarzy śnieg zaczął gwałtownie ciemnieć, nasiąkając krwią.

Od drogi wpadł skulony jeździec. Nie zeskakując z konia, który cały czas dreptał w miejscu, nachylił się do ucha wachmistrza i powiedział mu coś szeptem. Ten podniósł ręce do czapki i wbiegł na schody.

Obaj oficerowie wstali gwałtownie.

— My tu jeszcze wrócimy — powiedział leutenant — za dwie godziny mają być sypialnie przygotowane — dziobnął palcem zegarek na przegubie.

Gdy tylko zamknęli drzwi, kroki ich stały się szybkie, jakby już uciekali. Sędzia nasłuchiwał chwilę. Zaklekotały kopyta, kłus gromady przegrzmiał pod bramą, przeszedł w rytmiczny galop, który powoli zacichał. Nahorayski siedział obejmując czoło rękami.

(Dalszy ciąg nastąpi)

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

NA POŁUDNIU

Ledwię przeskoczyliśmy Loarę sienną, szeroką i błyszczącą wśród piasków, a już się czuje Południe. Światło jest od razu inne, jakieś rozprószone i doskonale wszędobylskie, jakby promieniowało z ziemi a nie z nieba. Kiedy rankiem opuszczaliśmy Paryż, w kalendarzu, na ziemi i niebie był koniec marca. Później już tylko kalendarz się nie zmieniał. Za Loarą na ziemi i niebie był kwiecień, za Charente maj, a jutro w Landach będzie czerwiec. Nieśmiała pierwsza zieleń krzewów i brzóz w Ile de France pączkuje, dojrzewa i wreszcie pokrywa wszystko, w miarę jak rosną cyfry na liczniku naszego Citroëna. Rano aleje platanowe były górą ledwie przyprószone różem wykluwających się pąków. Po południu są już po-

Zatoka Biskajska jest słynna z burz

kryte soczystym dachem z liści. Nazajutrz miniemy pierwsze krzaki kwitnącego bzu.

Samochód prowadzi Z. Jest to jeden z najdoskonalszych kierowców, z jakim kiedykolwiek jechałem, mimo że amator — W B, jedna z naszych znakomitości w publicystyce, dzięki zaproszeniu którego odbywamy tę wielkanocną wyprawę, twierdzi że Z. jest najczystszym przykładem nowoczesnego młodzieńca. Ośrodki odbierające bodźce są u niego bezpośrednio połączone z centrami wprawiającymi w ruch mięśnie bez przechodzenia przez mózg. Ma bezpośrednie połączenia między okiem, a językiem, okiem a rękami i nogami. W ten sposób mózg Z nie ulega nigdy przekrwieniu, dzięki czemu on sam jest idealnym towarzyszem o wiecznej pogodzie i niezmąconym optymizmie. Perfekcję w prowadzeniu samochodu nabył w „maquis" w Vercors Daje to B sposobność do zrobienia uwagi, że we Francji partyzantce nadawał charakter samochód a w Polsce automat, dwa nowoczesne mechanizmy w ręku ludzi o bezpośrednich połączeniach między ośrodkami odbiorczymi a wykonawczymi z ominięciem mózgu.

W rękach Z. nasza poczciwa „onze légère" robi w siedem i pół godziny 620 km między Paryżem a Arcachon. B. siedział przez cały czas z mapą Michelina w ręce, przymierzając krajobraz do karty i pilnując, aby strzałka na szybkościomierzu nie przekraczała cyfry 120. Nie wiem, dlaczego powiedzieliśmy sobie, że do Arcachon to jest podróż a dopiero od Arcachon wycieczka, mimo iż po drodze było i Poitiers i Angoulême, i Bordeaux, z których złowiliśmy na chybił trafił, kątem oka, fragmenty katedr, zaułków i starych murów, mostów na rzekach jak ze snu i polnych pejzaży usianych topolami.

Zaraz za Bordeaux niekończące się winnice po obu stronach ustępują miejsca niekończącym się lasom sosnowym, ciągnącym się na przestrzeni dwustu parudziesięciu kilometrów między ujściem Gironde a Bayonne. Landy. Zapadliśmy, w nie u schyłku dnia na całą dobę, jak słomki pod zmierzch. Jeszcze zanim dojechaliśmy do Arcachon, oglądaliśmy z miejsc, w których droga się wznosi, tumany żółtego kurzu, wzbijane przez wiejący od lądu wiatr. Kurz ten wstawał jak słup nad wierzchołkami sosen i wzgórz, wkrótce przypudrował nam samochód i obuwie, leżał cienką warstwą na balkonach i podłogach leśnego pensjonaciku, w którym stanęliśmy na noc. Nie od razu zrozumieliśmy Kwitły sosny. To pyłek milionów kwitnących sosen unosił się w powietrzu jak burza piaskowa.

Szybka wizytacja Arcachon, uroczego letniska ukrytego wśród lasu nad brzegiem wewnętrznego basenu. Na przeciwległym brzegu na wpół leśny, na wpół wydmowy przylądek Cap Ferret zamyka drogę wielkim falom wolnego oceanu Daleko na linii horyzontu białe grzywy przypływu rozbijają się o ławice piaszczystych łach, zalanych wodą. Statek utrzymujący regularną komunikację między Arcachon a Cap Ferret wyje i dymi na tafli basenu, spokojnej jak staw. Z pełnego morza dolatuje ryk fal przewracających się na dalekich piaskach. Dostajemy z tego wszystkiego wilczego apetytu

Nigdy i nigdzie nie jedliśmy takich ostryg jak w Arcachon Na środku basenu znajduje się słynny park ostryg wielkich jak spodki. Przed wojną sam eksport ostryg przynosił Arcachon wiele milionów franków. Arcachon jest ulubionym miejscem wypoczynkowym i letniskowym patrycjuszy winiarskich z Bordeaux, wzbogaconych w ciągu stuleci eksportem win do Anglii. Samo ze swej strony czerpało zyski nie lada z eksportu do Anglii ostryg. Sympatie i wpływy obyczaju wyspiarskiego są zawsze żywe w tych miastach, które pół tysiąclecia temu jeszcze należały do korony angielskiej. Opowiadano nam o istnieniu tak silnego poczucia kasty wśród winiarzy z Bordeaux, że w ich towarzystwach nawet prefekt nie jest przyjmowany.

Stanęliśmy na noc w pensjonacie położonym samotnie nad pełnym oceanem w Pilat na południe od Arcachon, u stóp największej podobno w Europie diuny. Tam dopiero rozumie się słuszność nazwania wybrzeża srebrnym — Côte d'Argent. Ze szczytu wydmy ma się w polu widzenia tylko trzy elementy: srebrny ocean aż po krańce horyzontu, srebrne wierzchołki sosen wypełniające widnokrąg lądu i srebrzysty piasek wielkich diun pomiędzy morzem a lasem Jest to najczystsza, najbardziej artystyczna, prosta i przekonywająca kompozycja natury, jaką kiedykolwiek widziałem

Wszędzie gdzie sąsiadują ze sobą żywioły, odbywa się między nimi zmaganie. Gdzieś około V. wieku znikły z niewiadomych przyczyn lasy na Srebrnym Brzegu i wyzwolone piaski poczęły posuwać się w głąb lądu z szybkością 25 metrów na rok. Za piaskami postępował krok w krok ocean. Pochód ten trwał przeszło 1000 lat i musiał pochłonąć ze trzydzieści kilometrów lądu. Dopiero w XVII w. poczęto sadzić lasy na diunach, i zatrzymano marsz piasków. Widzieliśmy przednie forpoczty lasów na linii szturmu wydm — wielkie sosny po wierzchołek zasypane. Te płaskie i długie mielizny, na których łamią się fale daleko na oceanie, to są podbite przedpola lądu. Całe wybrzeże Landów, to jedna wielka, piaszczysta plaża, wyciągnięta prosto, jak linia narysowana na papierze.

Wieczorem mam ochotę posiedzieć na brzegu, gapiąc się jak słońce topi się w wodzie i jak księżyc wychodzi z lasow. Ale B nie lubi sytuacji nieokreślonych jasno akcją, ruchem kierunkiem, celem — B wypełnia cały swój czas czynnościami zdeterminowanymi. Idzie czy jedzie, mówi, pisze, czyta, słucha, je lub śpi i nie ulega czarom i zaklęciom Jego temperament rozsadza każdy nastrój, każdą sytuację przedłużającą się poza ramy sensu. Jeśli patrzy w niebo, to po to, aby rozpoznawać na nim konstelacje i określać gwiazdy. Podoba mi się w nim szalenie ten wściekły ładunek „personality", z którego wypływa zresztą wszystko, co się w nim może nie podobać. Wsadził nas w samochód i tłukł po nocy w oczekiwaniu na chwilę, w której chce się spać

Kiedy nazajutrz po południu wydostaliśmy się z Landów, było nam wyraźnie żal. Wielkie lasy mają to do siebie, że stwarzają swoistą rzeczywistość, jakiś inny wymiar, odczuwalne w pełni nie wtedy, gdy się w nie wchodzi, lecz wówczas, kiedy się je opuszcza Przez całe pół dnia kluczyliśmy na półgazie po leśnych drogach. Wszystkie sosny nacięto świeżo i każda z nich miała u pnia gliniany kubek, w który spływała żywica. Ludność żyjąca w sąsiedztwie granicy lub lasów rzadko jest naprawdę biedna. Las żywi, las daje pracę, opał, żywicę. W południowej części Landów są całe aleje i lasy olbrzymich dębów korkowych. Małe, czyste, jak to zwykle w lasach, osady ludzkie tonęły w kwitnących bzach i magnoliach. Wypadaliśmy z nich na wietrzne plaże nad otwartym oceanem, lub śródleśne jeziora. Zapach żywicy i kwitnących sosen unosił się nad tym wszystkim jak czad.

Potem las się urwał i wjechaliśmy w departament Niskich Pirenejów.

Żaden chyba kraj nie ma tej różnolitości krajobrazu co Francja. Wystarczy minąć granice departamentu, aby znaleźć się w odmiennym pejzażu, wśród odmiennej roślinności, innego budownictwa, wręcz w innym klimacie. Ale równocześnie w żadnym chyba kraju stolica nie wycisnęła takiego piętna na życiu prowincji i jej wyglądzie jak we Francji, mimo iż rzecz paradoksalna, nigdzie na świecie nie ma równie wielkiej przepaści pomiędzy stolicą a prowincją. We Francji wszystko co jest poza Paryżem, jest najstraszliwszą, betlejemską prowincją. Ale równocześnie każde miasto prowincjonalne mizdrzy się na mały Paryż. Także bulwary, także wielkie magazyny „à la ville de Paris", wszędzie ten sam „Crédit Lyonnais" i te same towary na wystawach przy zupełnym braku jakiegokolwiek przemysłu regionalnego. Ten wielki kraj nie od razu stał się Francją. Powstał z różnych ras, ludów i państewek. Monarchia dała mu jedność geopolityczną, rewolucja i Napoleon administracyjno-prawną, a burżuazja kapitalistyczna zuniformowała go gospodarczo. Jeśli się chce mieć prawdziwy beret baskijski, to należy go kupić w Paryżu.

Każda najmniejsza dziura we Francji ma swój „Monument aux Morts", na którym wyryte są nazwiska poległych w wojnie 1914 — 18. Po ostatniej wojnie dorzucono do nich nową garść. Liczenie nazwisk na pomnikach wystawionych poległym w miastach, miasteczkach i wioskach Francji jest doskonałą lekcją poglądową przyczyn dekadencji politycznej i gospodarczej tego wielkiego narodu. Widać przy tym jasno że dekadencja ta jest wynikiem wojny zwycięskiej 1914 — 18 w wyższym stopniu, niż wojny przegranej w 1940. W takim Mimizan w Landach, liczącym 496 mieszkańców, naliczyliśmy na „Monument aux Morts" 80 poległych z pierwszej wojny i 12 z drugiej! Tego potwornego upustu młodej krwi, jakiego doznała Francja w Wielkiej Wojnie, nie dało się już odrobić. W Paryżu tego nie widać, ale prowincja zamieniła się w trupiarnię.

✤

Zatoka Biskajska jest znana z burz. Pogoda która w Landach uczyniła nam z marca czerwiec, zepsuła się, dmie porywisty, zimny wiatr i morze się wścieka. Całe Côte Basque, pensjonaty, hotele i wille Biarritz, Guéthary, St Jean de Luze i Hendaye są puste w oczekiwaniu sezonu. To wybrzeże nie ma ani egzotyki Riwiery, ani dzikiego wdzięku Bretanii, a udaje jedno i drugie. Ten typ letniska więdnie w miarę pogłębiania się kryzysu ustroju, który go wytworzył. Wielkie hotele i pensjonaty straszą zabitymi deskami oknami. W sezonie coraz więcej letników

Na diunie w Pilat

rozbija w pobliżu ich ścian kampingowy namiot. Staje się oczywiste, że jedynym praktycznym zużytkowaniem tych niepotrzebnych dziś gmachów było by oddanie ich związkom zawodowym na wczasy robotnicze. Anglicy, którzy w zeszłym stuleciu odkryli Côte Basque jak zresztą i Côte d'Azur, już nie mają za co przyjeżdżać.

Gdyby nie morze i charakterystyczne budownictwo, to ten kraj niewiele by się różnił od Huculszczyzny. Ludność żyje bardziej z granicy niż letników. Granica, to jest najważniejsza instytucja dla całego kraju wzdłuż Pirenejów, od Hendaye aż po Banyuls.

Granica francusko-hiszpańska jest znów otwarta. Droga, która wiedzie do niej, nazywa się Avenue de Charles de Gaulle. Rampa i rzeka, przed rampą grupki ludzi, co chwila ktoś przechodzi lub przejeżdża. Za rzeką jest już Hiszpania. Widać jak na dłoni Irun, słynny z zaciętych walk, które toczyły się o jego posiadanie. Przejeżdżamy się wzdłuż granicy, nad wodą. Patrzymy na Hiszpanię.

Bearneńczycy mówią „patois de Béarne", czymś w rodzaju narzecza francuskiego o wymowie hiszpańskiej. Nawet kelnerów w bistro często trudno zrozumieć. Wszyscy uwielbiają walki byków i grają w pelotte. Każda wioska ma swój wielki mur do grania w pelotte. Odświętnym strojem Basków jest czerwony beret, biała koszula i spodnie jak do tenisa, przepasane zieloną szarfą w pasie. Kiedy wróciliśmy z granicy do Biarritz, odbywało się tam właśnie wielkie święto regionalne. To bardzo ładny lud. Nic więcej na ten temat nie umiem powiedzieć. Nie byłem tam, przejeżdżałem tamtędy

✤

Południe przyprawia o polihistoryczną czkawkę. Każda dziura ma tu swoją historię, która jest zawsze historią Francji, często historią Europy, czasem historią świata. Wszędzie działo się coś godnego uwagi. W St. Jean de Luz odbył się ślub Ludwika XIV z Marią Teresą, w Tarbes urodził się Foch, w Bayonne wynaleziono bagnet, pod cyrkiem Gavarnie zginął Roland, o ile nie było to, jak chcą inni, w wąwozie Roncevaux. Wyrzynano się tu wszędzie tego przez dobre tysiąc lat, nic dziwnego, że ziemia Langwedocji jest czerwona. Wojna stuletnia polegała przede wszystkim na łupieniu Południa i braniu okupu za wybitnych jeńców. Mniej wybitnym po prostu obcinano głowy. W czasie wyprawy krzyżowej, zorganizowanej przez Papieża Innocentego III przeciw albigensom, wyrzynano całą ludność w zdobytych miastach Hasłem straszliwego Simona de Montfort było: „Tuez tout, Dieu sait reconnaître les siens". Południe było zawsze bogatsze od Północy, dorabiało się na handlu z Afryką i Wschodem. Dlatego Północ tak chętnie najeżdżała Południe jak historia długa i szeroka. W Tuluzie przeszedł nam drogę pijany włóczęga śpiewając chwałę Południa: „C'est un beau pays, il-y-a du soleil, il-y-a du vin, il-y-a tout ce que vous voudriez, mais..." reszty nie dosłyszałem, ale domyślam się. Prawdopodobnie „mais on y crève d'ennui" — lub coś w tym rodzaju. Istotnie. — Południe odwzajemniło się Północy, odkąd Paryż stał się stolicą świata, i wysłało wszystkie swe dzieci na jego zdobycie. Ci, co zostali w Gaskonii, Langwedocji, Prowansji, umierają z nudów. Z jednego z takich przeuroczych miasteczek na Południu pisze mi żona: „Jedyną przyczyną istnienia tego maleńkiego miasteczka jest most, którego nie ma. Niemcy wysadzili go w powietrze, zostały tylko resztki. Póki był, zjeżdżali się do niego turyści, masami. Stąd trzy olbrzymie restauracje i wszyscy tubylcy. Są bardzo zamożni, bo przez cały rok sprzedają zbiory kwiatów do pobliskiej wytwórni perfum. Życie kończą romantycznie, zapijając się do wariacji albo skacząc w delirium z resztek mostu. Od dawna nikt tu nie umarł inaczej..."

„La langue d'oc", język Południa, znikł z uniwersytetu w Tuluzie w XVI w., ale już w XIV po wojnach religijnych trzeba widać było go protegować przed francuskim, skoro siedmiu młodych trubadurów zakłada „collège du Gai Savoir", pierwsze towarzystwo literackie w Europie, którego przeznaczeniem miało być kultywowanie mowy langwedockiej. W dziewiętnastym wieku kontynuuje tę beznadziejną walkę z zalewem francuczyzny słynny ruch filibrów z Mistralem na czele. Dialekt południowy utrzymuje się już tylko gdzieniegdzie, zwłaszcza w Prowansji, i mówią nim już tylko

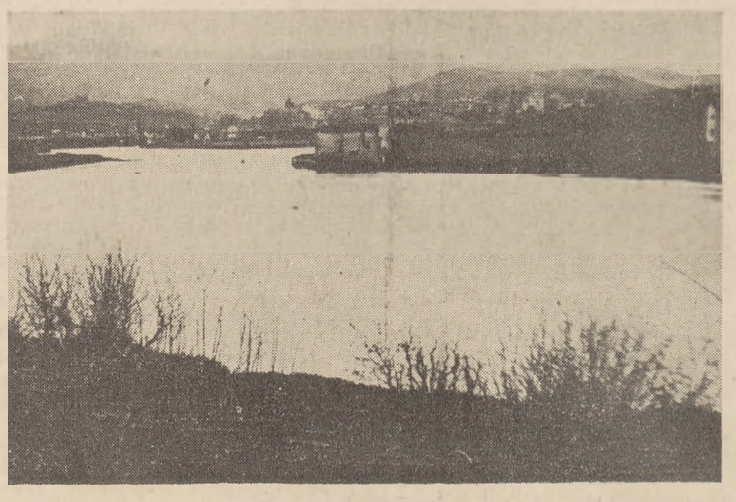

Za rzeką już Hiszpania

starzy. Za to do dziś dnia Południe nie nauczyło się mówić po francusku bez akcentu.

Tuluza, stara stolica Langwedocji leży w centrum kraju pozbawionego kamienia. Stworzyła swój własny styl gotycki, z cegły. To dosyć, aby B nie przenosił swej odrazy do gotyku w ogóle na gotyk tuluzański. Rozumiem niechęć do gotyku, jakkolwiek nie podzielam jej. Gotyk symbolizuje nie tylko pewien okres dziejów i świadomości człowieka, lecz również pewien światopogląd. — B. widzi historię rozwoju uświadomienia sobie świata przez ludzkość jako ciąg przebłysków i zaćmień, przy czym uważa średniowiecze za zdecydowane i długie zaćmienie. Gotyk musi być dla niego nierozłączny z obrazem kata w jego cieniu, trzymającego topór na co światlejsze głowy. Ale poza tym B. jest dzieckiem miasta, które hodowało najpiękniejszy polski barok. Nigdy nie zapomnę jego uciechy na widok renesansowej fasady narosłej na gotyckim pniu katedry w Rodez. Wyglądała tak jakby ktoś maleńki wileński kościółek umieścił nad rozetą Notre-Dame.

Katedra w Albi zrobiła na nas wrażenie. Te olbrzymie, obronne mury wznoszące się jednym rzutem od fundamentów aż po niebo, jakby katedra została wzniesiona od jednego zamachu. Do tego doczepiony najbardziej rozszalały gotyk „flamboyant" portalu, jaki widziałem. I wnętrze z renesansowymi freskami włoskimi malarzy XVI w. Pod tym wszystkim miasteczko nad rzeką, między starymi mostami. Na szczycie wieży usiłujemy sobie przypomnieć zasady herezji albigensów, jej dziwną doktrynę moralną, jej podział na „doskonałych" i „adeptów". Ale Z. szybko ma tego dość i zaczyna przechwalać się, że na żadnej wysokości nie doznaje zawrotu głowy. Wtedy B. wyciąga obie ręce poza parapet, balansuje nimi nad prostopadłą przepaścią, nad dachami miasta, mostami i rzeką, nad całym Południem i powiada: „Niech pan sobie wyobrazi, że trzyma pan swego synka i bawi się nim: „hop!" — B. wykonuje gest podrzucania czegoś w górę i chwytania z powrotem. Z. zielenieje i od razu robi mu się niedobrze.

✤

Później przeskakujemy rzeczkę Viaur, wpadamy w wąwóz, wspinamy się na płaskowyże i od razu znikają zielone falistości Południa, domy i kościoły z cegły, topole nad ruczajami, a ich miejsce zajmuje surowy pejzaż Aveyron, wykute w kamieniu wioski, zamki obronne na szczytach skał. Później jest Cantal, serce Owernii i wygasłe wulkany Puy de Dôme. Ale jeszcze tego wieczoru jest Montpeyrou.

Zobaczyliśmy je z daleka, leżące na wzgórzu, w bocznym oświetleniu zachodzącego słońca. Malutkie kamienne miasteczko, ciasno stulone na szczycie pod olbrzymią basztą, która w stosunku do domków wokół niej ma proporcje kokoszy wobec kurcząt. Było to zjawisko tak urocze, jakby wszystek czar miasteczek Południa przylepionych do skał i uczepionych murów zamków i wież chciał ktoś oddać w stylizowanej syntezie. Teatralność tej kompozycji i tego światła była tak niesłychana, że trzeba było wedrzeć się w głąb tej dekoracji, dotknąć jej od strony kulis, aby uwierzyć w miasto.

Dobrą chwilę biegaliśmy po malowniczych uliczkach, wśród kamiennych domków i murów zarosłych dzikim winem, zanim odkryliśmy przyczynę dziwności odczuwanej od pierwszej chwili To miasto było wymarłe. Malownicze domy były puste, okna bez szyb patrzyły w uliczki, z których uszło życie, na maleńkich placykach nie bawiły się dzieci, cicho było wszędzie jak w kościele.

Wziąłem Z. za ramię i wygłosiłem mu mały wykład. „Młody przyjacielu—powiedziałem — ma pan przed sobą wynik i wykładnik procesu społecznego i gospodarczego, który we Francji jest powszechny. U jego podstaw leży wyludnienie kraju. Na tym tle powstaje niemożność zapełnienia luk demograficznych, dokonanych przez odpływ ludności wiejskiej do miast. Ludność odpływa, bo rolnictwo przestało się opłacać, bo od dawna nie ma potrzeby mieszkania w grodach obronnych na szczytach wzgórz i u stóp zamków, bo czynnik społeczny, jakim jest kobieta, kieruje mężczyznę i rodzinę ku życiu łatwiejszemu, bardziej atrakcyjnemu i rentowniejszemu w miejskich centrach produkcji. Dlatego opłaca się życiowo zostawić dom i winnice w Montpeyrou na rzecz czynszowego mieszkania i pracy w fabryce Clermont Ferrand. W Polsce zjawisko to jest kompensowane nadwyżką ludności wiejskiej, jakiej nie jest w stanie wchłonąć przemysł. We Francji ten normalny dla epoki industrializacji proces sprawia, że ludność opuszcza masowo urocze sadyby na wzgórzach na rzecz ochydnych kolonii robotniczych w brzydkich ośrodkach przemysłowych Niedługo nie będzie wcale takich miasteczek, a pozostaną tylko ich ruiny. Ludzie będą mieszkać i pracować w miastach i fabrykach lub we wzorowych fermach rolnych. Przykład tego procesu ma pan przed sobą..."

Przerwałem bo w tej chwili na stary placyk przed merostwem wyszły nie wiedzieć skąd dwie staruchy. Miały razem na pewno ponad półtora stulecia. Powitały nas grzecznie i zaraz widać było, że mają wściekłą ochotę na rozmówkę.

— Powiedzcie, matko, dlaczego to miasto zostało opuszczone?

Pokiwały głowami. Nie tak dawno jeszcze Montpeyrou liczyło 800 dusz. Wesoło było i gwarno, winnice rodziły dobrze, świnie kwiczały po podwórzach. Dzisiaj już tylko trochę starców zostało. Młodzi odeszli. Wszystko obraca się w ruinę. Tak, tak. A kiedyś to było miasto! — Pokazały nam „Monument aux Morts" między średniowieczną bramą obronną a merostwem. Dziewiętnastu zabitych w tamtej wojnie. Ej, żyło się, żyło!

Spojrzałem porozumiewawczo na Z. — „No i cóż się stało?"

— Wieża, panoczku, wieża... — Stara podniosła palce ku baszcie, rzucającej cień na całe miasteczko jak kokosz na kurczęta.—Wieża zaczęła się rysować i grozić zawaleniem. Zanim utworzono komitet ocalenia wieży — o tu... — pokazała na tabliczkę upamiętniającą to zdarzenie na cokole pomnika poległych — wszystko, co ceniło życie i zdrowie, uciekło z Montpeyrou. Zostali tylko starzy, bo i gdzie my pójść możemy. Popatrzcie, tutaj był nowy dom, piękny sklep, właścicielka pierwsza uciekła. Sklep pod samą wieżą...

Milczę, kiedy wracamy do samochodu. Słońce świeci bardzo czerwono i wszędzie leżą długie cienie. B. mówi do mnie cicho:

— Ciekawe, jak łatwo jest zbić z pantałyku pewnych empirystów. Wystarczy byle zakłócenie w szeregu logicznym, byle przypadkowe ogniwo w łańcuchu przyczynowym. Tymczasem istnieje racja dialektyczna, eschatologia pojęta po marksistowsku, która wyznacza punkty wyjścia i punkty dojścia i nie troszczy się o elementy przypadkowe i wtórne. Oczywiście, że miał pan rację. Takich miasteczek we Francji jest tysiące i nie we wszystkich wali się wieża. Zresztą motywy spraw są zawsze w oczach kobiet inne niż w oczach mężczyzn.

Za nami Montpeyrou znika w zmierzchu. Tylko wieża trzyma jeszcze wysoko ostatnie promienie słońca.

Mirosław Żuławski

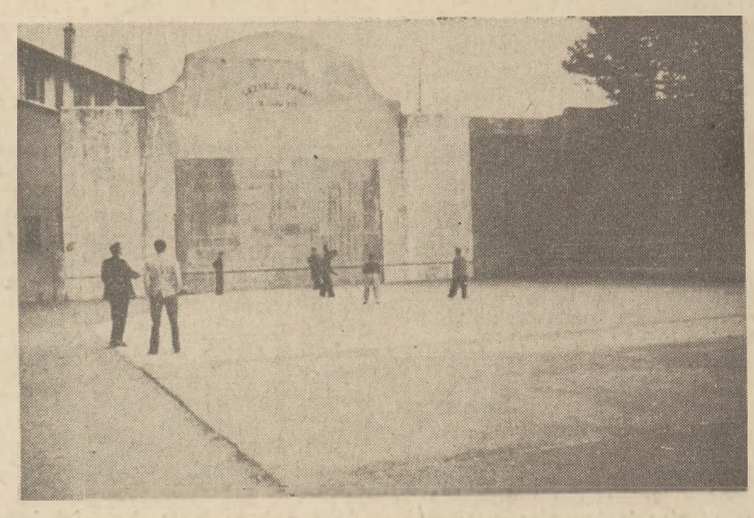

Każda wioska ma swój mur do gry w pelotte

Kobieta może nie być piękna, ale nie powinna wyglądać staro

przekona o tym ilustrowany

Poradnik na codzień

„Mody i Życia Praktycznego"

Jak zachować młodość i urodę!

Cena 50 zł.

Do nabycia we wszystkich punktach sprzedaży pism i księgarniach

KAZIMIERZ WYKA

„Gdziekolwiek ziemia jest snem"

I

Z pięciu opowiadań zamieszczonych w tomie Tadeusza Borowskiego „Pożegnanie z Marią"[1]) jedno wydaje się zbędne, tak swoim ujęciem stylistycznym odskakuje od utworów pozostałych. Które? Właśnie tytułowe „Pożegnanie z Marią". To jedyne też opowiadanie rozgrywa się poza obozem koncentracyjnym za Niemców, amerykańskim po wyzwoleniu, jeszcze w Warszawie pod okupacją. Suszące się w nim arkusze odbitego na powielaczu tomiku poezji są zapewne arkuszami okupacyjnego zbioru Borowskiego „Gdziekolwiek ziemia". Mogę po latach donieść autorowi, że zastosowana na okładce owego zbiorku „rewelacyjnie nowa technika powielaczowa", a już przy wykonywaniu tomiku skarży się on na nią, zupełnie zawiodła. Okładka jeszcze dzisiaj plami. Mogę również przypomnieć, jak w ostatnim czterowierszu zbioru wyglądał jego „nieprzychylny stosunek do dmącego apokaliptycznie wiatru dziejów".

Gdziekolwiek ziemia jest snem, nie przebudzonym jeszcze,
Uwierzyć trzeba w kształt i kochać senny pozór,
Na wietrze budować mgłę i wpół nie urywać snu.
Gdziekolwiek ziemia jest snem, tam trzeba dośnić do końca.

„Pożegnanie z Marią" wydaje się zbędne, ponieważ odżył w nim poetyzujący styl „metafizycznych heksametrów", do których okładki suszą się w tym opowiadaniu. Ten styl zastosowany do tematu w każdym swoim szczególe bardzo okupacyjnego, nie z sennego pozoru, nie pozwala utworu skoncentrować, a już najbardziej drażni, kiedy Borowski poetyzuje i opisuje. Chyba że to pożegnanie ma posiadać sens symboliczny, ma być czymś zbliżonym do owej katarynki Katarzyny z przedziwnego liryku Ważyka. i Maria wobec tego musi być jak mgła zbudowana na wietrze. Chyba że jest to pożegnanie Borowskiego, który z obozu oświęcimskiego wrócił prozaikiem o całkiem własnej pozycji, z Borowskim dawniejszym, budowniczym fundamentów z mgły.

A przecież „Pożegnanie z Marią" nie jest w tym zespole opowiadań całkiem zbędne. Ono bowiem pozwala określić stanowisko, wedle którego utrzymana jest psychologia obozowego przetrwania i gry o życie w głównych utworach Borowskiego. „Pożegnanie z Marią" to bodaj jedyne dotąd opowiadanie o formach okupacyjnego „handlu", jakimi nasiąknęło całe społeczeństwo Generalnego Gubernatorstwa, ponieważ całe — pośrednio lub bezpośrednio — w nim uczestniczyło. W naturalistyczny i beznamiętny sposób rejestruje tutaj autor typowe objawy „gospodarki wyłączonej". Pracuje on w przedsiębiorstwie handlującym materiałami budowlanymi. Najwięcej handlowej ponęty i ryzyka ma cement. Święta racja! — panie Tadeuszu. Na sznurkach schną okładki katastroficznego tomiku, ziemia jest w nim ze snów uklejona, ze strof Miłosza z „Trzech zim", Łobodowskiego z „Rozmowy z ojczyzną", a tymczasem wokół:

„Furmani sprzedawali wapno na ulicy, dowożąc na budowę niepełny metr. Odrabiali prywatne kursy. Kradli z kolei. Ja z początku wynosiłem ze składu ton i kredę koszykiem i sprzedawałem je w mydlarniach okolicznych, jednakże zżywszy się z kierownikiem serdecznie, wszedłem z nim w spółkę, podzieliłem teren pracy i uzgodniłem sposób księgowania. Wiązała nas również produkcja bimbru, odbywająca się moim kosztem w mieszkaniu kierownika. Oddawszy mi lwi udział w detalicznej sprzedaży, kierownik pogrążył się w szerokich interesach, wykorzystując firmę jako punkt przerzutowy, a telefon składu jako niezawodny sposób komunikacyjny. Kierownik znał się na złocie i kosztownościach, sprzedawał i nabywał meble, znał adresy pośredników mieszkaniowych, a nawet sam handlował lokalami, miał stosunki ze złodziejami kolejowymi i ułatwiał im kontakty ze sklepami komisowymi, przyjaźnił się z szoferami i sprzedawcami części samochodowych, prowadził także ożywioną wymianę z ghettem. Uprawiał handel z wielkim lękiem, jakby przez siłę, wbrew własnemu poczuciu prawa. Odczuwał dotkliwą nostalgię za bezpiecznymi czasami przedwojennymi. Pracował wtedy jako magazynier w przedsiębiorstwie żydowskim. Pod okiem czujnej właścicielki wyrabiał się uparcie na ludzi, kupił auto sportowe i zarabiał taksówką do trzystu złotych dziennie, odliczywszy dniówkę szofera. Wkrótce nabył pod miastem przy autostradzie jedną parcelę budowlaną, a na parę miesięcy przed wojną — drugą na bliskim przedmieściu. Rozumiał, że czyni to w zgodzie z prawem ludzkim, i żył pełnią życia, bez dokuczliwych rozterek duchowych".

Ten magazynier jest człowiekiem naprawdę przedwojennym. Wątpię, czy urzędy skarbowe po wojnie miały mu za co wymierzyć podatek od wojennego wzbogacenia. Borowski natomiast należy do roczników, które swoją samodzielność życiową osiągały wśród takich właśnie doświadczeń dnia codziennego i katastroficznych konwencyj poetyckich o wydającej te doświadczenia ziemi. Trudno o większy rozmiar sprzeczności! Możemy teraz spokojnie dopowiedzieć, że zdanie o zbędności „Pożegnania z Marią" było celową prowokacją krytyka. Nawet błędy tego opowiadania są potrzebne. Jeszcze potrzebniejsze byłyby cytaty z metafizycznych heksametrów, a ponieważ Borowski tego nie uczynił, krytyk raz jeszcze go wyręcza. Oto strofa z „Czasów pogardy":

Spod brwi zmarszczonych boleśnie oczy człowiecze patrzą:
przeminie żelazny krok, chorągwie dymu się zetlą,
umilknie kobiet pisk i zawodzenie pobitych,
pomniki nasze i bronie i tarcze pójdą na łom
i ślady zawieje wiatr. Wnuk nasz, z kobiety zrodzony,
zwycięzcy i niewolnika imion zapomni na zawsze.

Handel cementem i poetycka apokalipsa. Co z nimi dalej?

II

Zanim ten wnuk zapomni, trzeba było jednak przetrzymać — a można było nie przetrzymać — apokalipsę rzeczywistą — obóz koncentracyjny. Borowski przetrzymał i powrócił. Jego opowiadania obozowe — „Dzień na Harmenzach", „Proszę państwa do gazu" oraz „Śmierć powstańca" — stanowią w wachlarzu utworów obozowych odrębną pozycję. Jak dotąd, nikt nie zbliżył się ku zajmowanemu jedynie przez Borowskiego miejscu. Są poza granicami martyrologicznej skargi, również poza granicami ideologicznego oporu wobec faszyzmu. Ze stanowiska moralizatorskiego można by przyporządkować Borowskiego do „zarażonych śmiercią". Ale i to nie będzie słuszne! Bo z tym zarażeniem jest jak z malarią: po gorączce febra i drżączka wyrzutów moralnych, zgaga świadcząca o nieprzystosowaniu do choroby. Tymczasem pamięć i pióro Borowskiego nie drżą w sytuacjach najbardziej odrażających. On nad nimi panuje jako pisarz. A kto panuje, ten i przezwycięża częściowo.

Te wszystkie odrębności łatwo jest ustalić, ale nie jest łatwo odpowiedzieć, czym są utwory Borowskiego nie przez kontrast. Naturalistyczna z pozoru, ocierająca się o granice cynizmu przenikliwość spojrzenia, które dostrzegając najgorsze fakty nie dostrzega form psychicznej i moralnej obrony przed nimi, nasuwa domysł o celowej prowokacji moralnej. Tak przynajmniej sądzi rówieśnik Borowskiego Roman Bratny: „W celu wyraźnej prowokacji moralnej Borowski zaakcentował animalizm człowieka sprowadzonego przez obozową tresurę do stanu pierwotnego". („Twórczość", 1948, nr 3, „W poszukiwaniu nowego stylu").

To również nieprawda! Miejsce i zamiar pisarski Borowskiego jest jeszcze gdzie indziej. Jego opowiadania mówią o zasadach przetrwania, jeżeli przyjąć tylko regułę gry o życie narzuconą przez obóz, a nie odpowiadać przeciwko niej regułami własnymi — moralnymi, ideologicznymi. W obozowej masie procent ludzi o wysokich kwalifikacjach moralnych i ideologicznych, chociaż nacisk grozy niekiedy je wyzwalał w sposób nieoczekiwany, nie był przecież większy aniżeli w społeczeństwie na wolności. I jakaś przeciętna przetrwania za wszelką cenę nie układała się w pobliżu moralnych szczytów obozu, ale w pobliżu twardej i umiejętnej walki o samego siebie. I o tym właśnie, o tym jedynie, opowiadania Borowskiego mówią w sposób otwarty i bezwzględny.

Ta przeciętna przetrwania, kiedy bliżej na nią spojrzeć, okazuje się w przedstawieniu Borowskiego bardzo bliską krewną—okupacyjnego handlu. Brutalny i bezwzględny, cyniczny i pozbawiony rozgrzeszających mgiełek charakter handlu jako funkcji był za okupacji wyjątkowo widoczny. W obozie napotykamy go wciąż. Nie chodzi mi o ustawiczną, czujną i powszechnie uprawianą wymianę przedmiotów i usług pomiędzy więźniami. Nawet o takie sceny mi nie chodzi jak zakończenie opowieści „Proszę państwa do gazu". Ta przychylna, z handlowego stanowiska przychylna ocena płonącego już w krematoriach transportu. „To był dobry, bogaty transport".

Nawet nie to. Chodzi mi natomiast o takie sytuacje, kiedy ów handel ze śmiercią o nagie życie przeżera, odruchy, zdawało by się, całkowicie bezinteresowne gesty z pozoru ludzkie. To zakończenie „Dnia na Harmenzach" Stary Beker został przeznaczony do gazu i przynajmniej raz w obozie, przed śmiercią, chciałby się najeść. Ale w obozie skazańcy nawet prawa do ostatnich życzeń nie mają.

Kazik uderzył mnie dłonią po kolanie.

— Znasz tego Żyda?

— To Beker — odrzekłem cicho.

— Te, Żyd, właź tu na buksę i zażeraj. Jak się nażresz, to resztę zabierz ze sobą do komina. Właź na buksę, ja tu nie śpię, to możesz mieć wszy.

— Tadek — chwycił mnie za ramię — chodź. Mam na bloku świetną szarlotkę, wprost od Mamy".

Możesz mieć wszy, bo ja tu nie śpię. Możesz się nażreć mojego chleba, bo ja mam szarlotkę. W rzeczywistej, nie poetyzowanej apokalipsie handel staje się również apokaliptyczny. Ale czy ten handel ze śmiercią, jako jedyna forma walki o przetrwanie, był całkowicie poza moralnością? Czy Borowski niczego więcej nie dostrzegł?

III

Odpowiedź nie jest prosta i należy ją skrupulatnie przygotować. Tym więcej, że u Borowskiego jedynym komentarzem są gołe fakty. Chciałbym zwrócić uwagę na trzy sceny — z nich wydobędziemy wnioski.

Scena pierwsza. Rozmawia w „Dniu na Harmenzach" narrator ze starym tragarzem Bekerem, który w obozie żydowskim zabił własnego syna, ponieważ ten kradł chleb. Narrator się oburza. Słyszy pytanie: „— Jak długo siedzisz w obozie? — O... parę miesięcy". A zaznałeś głodu naprawdę? „Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka, jako na obiekt do zjedzenia. Ja już miałem taki głód".

I już zdawało by się, że Beker będzie miał słuszność w ocenie czytelnika, kiedy pada nowe pytanie. Tak, zabiłeś syna — „a ty też tylko twoją porcję jadłeś? — To co innego. Ja byłem Lagerältesterem.

Scena druga. Po wyładowaniu pierwszego transportu Będzin—Sosnowiec narrator ma dość ujrzanych okropności. Jego przyjaciel Henri już od wielu miesięcy pracuje na Kanadzie, wyładował setki tysięcy, oswoił się. Rozmowa:

„— Słuchaj, Henri, czy my jesteśmy ludzie dobrzy?

— Czemu się głupio pytasz?

— Widzisz, przyjacielu, wzbiera we mnie zupełnie niezrozumiała złość na tych ludzi, że przez nich muszę tu być. Nie współczuję im wcale, że idą do gazu. Żeby się ziemia pod nimi wszystkimi rozstąpiła. Rzuciłbym się na nich z pięściami. Przecież to jest patologiczne chyba, nie mogę zrozumieć.

— Och, wprost przeciwnie, to normalne, przewidziane i obliczone. Męczy cię rampa, buntujesz się, a złość najłatwiej wyładować na słabszym. Pożądane jest nawet, abyś ją wyładował. To tak na chłopski rozum, compris?

I oglądamy teraz, jak Andrzej marynarz z Sewastopola wypełnia tę zapowiedź na matce usiłującej porzucić dziecko, by siebie ocalić. Obydwoje wrzuca przemocą na auto jadące do krematoriów. „— Gut gemacht — tak należy karać wygodne matki — rzekł esman, stojący przy samochodzie. — Gut, gut ruski".

Trzecia scena — a raczej ocena. W „Bitwie pod Grunwaldem", już po wyzwoleniu, narrator rozmawia o kimś, kto był blokowym.

„— Komunista? Byłem u niego na bloku. Nie najgorszy.

— Szuja — odrzekłem zwięźle. — Bił ludzi, wysługiwał się esmanom, żeby tylko zostać blokowym i mieć bindę. Kiedy go wyrzucili na komando, to chodził jak struty. Trzech dni z fasonem nie umiał wytrzymać. Żaden lagrowiec".

Wymowa tych typowych scen jest wyraźna. Borowski gołym faktem, nie komentarzem — to jego zasada — ukazuje skuteczność metod zbrodni. To nie jest efektowna prowokacja, to jest po prostu — odwaga pójścia za wynikami tych metod w przeciętnej masie ludzkiej. Ukazuje również swoistą — powtarzam znów: pozaideologiczną — moralność walki z tymi metodami na tym ciasnym obrębie, jaki dla owej walki pozostawał. W słowach „żaden lagrowiec" i wielu momentach jego opowiadań, kiedy ktoś występuje jako prawdziwy lagrowiec, jest jakaś fachowa i moralna jednocześnie ocena człowieka zdolnego utrzymać swoje człowieczeństwo na tym niesłychanie ciasnym, a przecież jeszcze możliwym do nadania mu ludzkiego akcentu obrębie. Dlatego jedyna u Borowskiego scena gestu na wyrost — z gatunku tych, jakie przynoszą „Apel" Andrzejewskiego czy „Kantata" Żukrowskiego — rozgrywa się po prostu o skradzioną przez więźnia gęś. Z ukręconą szyją znajdą ją SS-mani w torbie Greka, gdzie ją wpakował nadzorca jego grupy Iwan. Iwan, „dobry lagrowiec", przyzna się do tego, chociaż ryzykuje głowę...

Bo nie w poetyckich zapowiedziach grozy, nie na ziemi ze snów, ale na idyllicznej, kasztanami ocienionej rampie kolejowej rozegrała się rzeczywista apokalipsa generacji Borowskiego. Nie dziwmy się, że narzuciła też okrutną trzeźwość środków artystycznych, umożliwiających jej zapamiętanie i odtworzenie.

IV

Czy te środki nadadzą się również do zagadnień innych, na podobne pytanie odpowiada ostatni utwór zbioru — „Bitwa pod Grunwaldem". Najbardziej w tomie niezbędny, bo rozwiewający wątpliwość, czy przypadkiem Borowski nie pozostanie pisarzem tylko jednego tematu — obozów koncentracyjnych. Na pewno nie! Bitwa pod Grunwaldem rozgrywa się 15 lipca 1945, w pozostającym pod wartą amerykańską obozie przejściowym, gdzie każdego gatunku polskiego rozproszonego przez wojnę znajdziesz po sporej gromadzie. Słowem jakaś arka Noego dla Polaków. I ci z obozu koncentracyjnego, i ci z oflagu, i ze stalagu, ze sorty starszej, i tej dopiero po powstaniu warszawskim, i ci z transportu Żydów wiosna owego roku wyciekających z Polski na Zachód. Jedyne nasze opowiadanie z okresu wielkiej wędrówki ludów po gruzach Trzeciej Rzeszy, tego samego okresu, który utrwalił Jerzy Zagórski w reportażach „Indie pośrodku Europy".

Wartość „Bitwy pod Grunwaldem" jest nie tylko dokumentarna. Tym razem zgadzam się całkowicie z Bratnym, że udało się tutaj zrealizować Borowskiemu: „postulaty, które określam jako użycie symbolu realistycznego, (gdzie)... wypadki, występujące w obiektywnie przecież istniejącej rzeczywistości, tworzą właśnie ich symbol społeczny, ową wielką metaforę". Dzięki samej wymowie wielorakich w swoim pochodzeniu faktów udało się Borowskiemu dokonać przekroju przez społeczeństwo polskie w dobie zamętu i chaosu miesięcy wyzwolenia, podobnie jak w „Popiele i diamencie" Andrzejewskiego. Ale przekrój to zupełnie inny, skondensowany, zawarty w niepokojącej wymowie faktów tak nagromadzonych na przestrzeni jednego dnia, że nie przemawia ich układ ujęty w dokładnie poprowadzoną narrację, lecz samo bogactwo planów, osób, wydarzeń. Sceny zaś takie, jak wieczorne ognisko z kukłą SS-mana płonącą na nim („nasza odpowiedź na krematoria"), jak uroczysta akademia w garażu, postać jak chorąży — mieszczą ironię o niespotykanym w naszej prozie nasyceniu przenikliwą zjadliwością.

Gatunek prozy Borowskiego należy bowiem do najrzadziej występujących w naszym piśmiennictwie. Boję się, że ochrzczą go terminem naturalizm, a byłaby to typowa, jak powiadał Irzykowski — przezwa a nie nazwa. Borowski nieraz lubi się popisać mocną obserwacją, mocnym a mało prawdopodobnym określeniem sytuacji. Jest w nim jakaś czupurna przekora, by każdą osobę, każdą sytuację stylistycznie wziąć za łeb i opanować, a samemu nie poddać się wzruszeniu czy szacunkowi, czy uległości. Trzeba być jednak bardzo złym czytelnikiem, by w tym nie dostrzec młodzieńczości i mutacji nakazującej przemawiać basem, ażeby przypadkiem nie wyrwał się dyszkant. Borowski czujnie się pilnuje, ale i tak dyszkant nieraz mu się wymyka.

Więc z tym naturalizmem ostrożnie. Stwierdźmy po prostu: ten przenikliwy, ostry i zaczepny ton prozy Borowskiego, jakże często stanowiący wstępny podkład wszelkich obserwacji u pisarzy zachodnio-europejskich, obserwacje, które bynajmniej się nań nie wyczerpują, pozwolił młodemu pisarzowi wtargnąć w apokaliptyczne zakamarki obozu koncentracyjnego i pozwolił mu wyjść z nich z okiem otwartym na wszelką inną rzeczywistość. „Gdziekolwiek ziemia jest snem, tam trzeba dośnić do końca". W tym powiedzeniu rzeczownik sen i czasownik od niego pochodny zastąpcie słowem p r a w d a — otrzymacie formułę dzisiejszej prozy Borowskiego.

Kazimierz Wyka

[1]) **Tadeusz Borowski.** „Pożegnanie z Marią". Opowiadania; Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza". Warszawa 1948; str. 179 i 1 nl.

HENRYK MARKIEWICZ

W kręgu Bolesława Prusa

Bezspornemu renesansowi Prusa jako chętnie czytanego autora i wysoko cenionego wzoru pisarskiego towarzyszy wzmożone zainteresowanie ze strony historii literatury i krytyki. Towarzyszy, ale nie nadąża. Bo chociaż jubileuszowe lata 1946 — 1947 przyniosły wielką monografię o pisarzu i sporo prac o nim, nie pozbawiły one słuszności wcześniejszego twierdzenia: „Plon badań naukowo-literackich nad całokształtem twórczości Prusa nie jest bogaty, nie tylko nie przynosi on jakichś konkretnych wyników i osiągnięć, ale nawet daleki jest od postawienia zagadnień, od wytyczenia kierunku dalszej pracy".

Ten surowy osąd pochodzi z sumiennego referatu Janiny Kulczyckiej-Saloni[1]), w którym ubóstwo literatury naukowej, powierzchowność i sprzeczność sądów krytyki o pisarzu zostały uwidocznione bardzo plastycznie. Kulczycka-Saloni wysuwa również postulaty na przyszłość: zbadanie języka Prusa, stylistycznych właściwości jego prozy, techniki kompozycyjnej, stosunku do twórczości poprzedników polskich i zachodnio-europejskich, wychwycenie „nurtu prusowskiego" w rozwoju polskiej powieści, wreszcie zestawienie bibliografii przekładów Prusa i głosów o nim zagranicy. Sama autorka przyznaje, że postulaty te obejmują ograniczone pole pracy badawczej. W każdym razie, używając przenośni Lunaczarskiego, to raczej dziedzina badań „składu chemicznego rzeki literatury" niż „praw hydrauliki" nią rządzących. Dziwne, że autorka kwalifikuje swe wnioski wręcz przeciwnie.

Prawidłowości zachodzące w twórczości Prusa próbuje wyjaśnić Stanisław Adamczewski. Rozprawa jego[2]) — jak zawsze u tego uczonego — przynosi wiele cennych i subtelnych a wszechstronnie udokumentowanych spostrzeżeń dotyczących techniki pisarskiej Prusa. Adamczewski słusznie twierdzi, że samymi tylko „środkami estetycznego badania" nie da się jej zadowalająco zinterpretować. Ażeby to osiągnąć, wprowadza konstrukcję postawy etycznej pisarza jako czynnika sprawczego i wiążącego w jego zespole zabiegów pisarskich. Koncepcja taka jest zrozumiała na gruncie humanistyki neoidealistycznej, która czynności humanistyczne uzależnia od pewnych właściwości duchowych jednostki kulturo-twórczej. Nie tu miejsce na ocenę tych zasadniczych założeń. Trzeba jednak zauważyć, że konstruowanie na podstawie twórczości pisarza jego hipotetycznej postawy etycznej, która ma z kolei wyjaśnić charakter jego twórczości — to błędne koło, postępowanie poznawczo bezpłodne. Świadomie zaś zastosowane przez Adamczewskiego wyizolowanie przedmiotu badania zarówno z szeregu literackiego, jak i kontekstu społecznego — jest zabiegiem metodologicznie niebezpiecznym i prowadzącym nieuchronnie do wniosków fałszywych.

Uniwersalna formuła „odpowiedzialności etycznej" tłumaczy u Adamczewskiego wszystko: technikę kontrastów i rzeczową oszczędność stylu, realizm charakterologiczny i racjonalistyczny stosunek Prusa do własnego pisarstwa.

Praca Feliksa Araszkiewicza o problemie kultury religijnej w twórczości Prusa[3]) wybiega właściwie już poza granice nauki o literaturze. Autor zajmuje stanowisko nie tyle badacza co interpretatora, przystępującego do tekstów literackich z celami apologetycznymi. Jako materiał podstawowy służą oczywiście „Emancypantki" i częściowo „Faraon". Araszkiewicz nie próbuje wyjaśnić historycznie „nawrócenie Bolesława Prusa". A przecież interesujące to zjawisko da się wytłumaczyć w związku z ewolucją zachodnio - europejskiej myśli mieszczańskiej w tym okresie. Mistyka Dębickiego wyrasta z gruntu, który przeorał empiriokrytycyzm.

Nieoczekiwanym sojusznikiem prawicy intelektualnej i politycznej w jej próbach „aneksji ideologicznej" Prusa, ponawianej chyba od czasów Ludwika Włodka — okazał się Karol Wiktor Zawodziński. Właśnie w „roku prusowskim" wystąpił on z polemicznym temperamentem jako — advocatus diaboli[4]). Jego rewizjonizm uderza zarówno w postępowość, jak i w wartości artystyczne dzieła Prusa. Atak pierwszy nie jest nowy, atak drugi nie jest udały. Że ideologia Prusa była ideologią liberalnego mieszczaństwa, że nie wyszedł on poza międzyklasowy humanitaryzm — to twierdził już lekceważony dziś ponad wszelką miarę Ignacy Fik. On również wyjaśnił, dlaczego w świadomości ogółu stał się Prus „postępowcem" i „demokratą". (Za orędownika socjalizmu — jak chce Zawodziński — nikt go zdaje się po „Dzieciach" nie uważał): „Humanitarne i tolerancyjne hasła pozytywizmu, rodzące się w okresie gdy mieszczaństwo walczyło o swe prawa, brzmią dzisiaj — pisał Fik w r. 1938 — kiedy klasa ta opancerzyła się w bojowy szowinizm narodowy i religijny, jak hasła postępu". („Rodowód społeczny literatury polskiej"). Ale w naszych czasach nikt nie szuka u Prusa „panujących dzisiaj, nawet nie specjalnie socjalistycznych tendencji w organizacji życia społecznego". Zawodziński wywala więc otwarte drzwi.

Rewizjonistyczna ocena literackich wartości utworów Prusa jest bardzo ułamkowa. Swe dość rozlewne i pełne dygresji osobistych rozważania urywa Zawodziński „z braku miejsca" przed analizą trzech wielkich powieści Prusa, za szczyt jego twórczości uznając „Placówkę". Skądinąd widać, że zastrzeżenia Zawodzińskiego dotyczą głównie kompozycji powieściowej i realizmu Prusa. Ale o jaki realizm autorowi idzie? Bodajże o realizm mały, drobnonaturalistyczny i o realizm psychologiczny. Sprawą realizmu rozumianego jako wybór istotnych związków i zależności, rozstrzygających o charakterze i postępowaniu człowieka — Zawodziński nie zajmuje się w ogóle. A w tym przecież znaczeniu poznawczym, nie w nieodwołalnie przebrzmiałej ideologii społecznej, tkwią najaktualniejsze dziś wartości Prusa.

W książce Zawodzińskiego, która obejmuje również studia o Sienkiewiczu i Orzeszkowej, rozrzuconych jest wiele interesujących i trafnych spostrzeżeń, obok innych, budzących zasadniczy sprzeciw. Polemizować z nim jednak trudno, bo — używając odpowiedniego w tym wypadku porównania militarnego — metoda Zawodzińskiego przypomina trochę partyzantkę. Krytyk atakuje i prowokuje do dyskusji, ale w momencie najryzykowniejszym „wymyka się" czytelnikowi. Najśmielsze tezy pozbawione są argumentacji. Tak jest np. w szkicu o Sienkiewiczu, gdzie znajdujemy przekonywające uwagi o jego artyzmie fabularnym i charakterologii, ale tuż obok — bardzo apodyktyczne i bardzo gołosłowne zdania, wobec których recenzent staje bezradny: „Perspektywa historyczna, którą posługiwał się Sienkiewicz, jest wystarczająca i na nasze potrzeby. Tożsamość odtwarzanej rzeczywistości w naszym i jego odczuciu jest jednym z momentów zapewniających niezmienność naszego sądu o twórcy obrazu".

Podobnie dziwi nieumiarkowana przesada w ocenie oddziaływania społecznego Trylogii. Zawodziński przypisuje jej **decydujący** wpływ na wytworzenie się świadomości narodowej chłopa polskiego (!). A poza tym „lektura Sienkiewicza była szkołą energii i patriotyzmu, przygotowaniem do wysiłków zbiorowych o historycznym znaczeniu, których świadkiem jest ostatnie czterdziestolecie". Nie dostrzegł Zawodziński, że z tej samej lektury m. i. wywodziła się (jak to podniósł A. Stawar) polityczna nieodpowiedzialność przedwrześniowych kierowników państwa polskiego, jego militarna bezbronność i — tragiczna brawura kawalerii atakującej w 1939 r. niemieckie czołgi!

Henryk Markiewicz

[1]) **Janina Kulczycka-Saloni:** Stan badań nad Prusem. (Odczyt wygłoszony na sekcji I Zjazdu Naukowo-Literackiego im. Bolesława Prusa w Warszawie dnia 23 września 1947 r. (! zamiast 1946). Odbitka z „Zagadnień Literackich" 1946 — R. IV, z. 4—6. Łódź 1947. Oddział Łódzki Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Spółdzielnia wydawnicza „Polonista"; str. 26 i 2 nl.

[2]) **Stanisław Adamczewski:** Etyka pisarska Prusa Dane bibliograficzne — jak w poz. I; str. 18 i 2 nl

[3]) Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Wykłady i przemówienia. 23. **Feliks Araszkiewicz:** Problemat kultury religijnej w twórczości Bolesława Prusa. Lublin 1947; str. 38.

[4]) **K. W. Zawodziński:** Stulecie Trójcy powieściopisarzy. Studia nad społecznym i artystycznym znaczeniem dzieła Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza. — Wydawnictwo Władysława Bąka. Łódź — Wrocław (1947); str. 111 i 13 nl

W poprzednim 22 (183) numerze „Odrodzenia", z dnia 30 maja 1948 r.: Czy dwugłos jest możliwy: **Julien Benda:** Republika i klasa robotnicza — **Laurent Casanova:** Dwugłos taki jest możliwy — **Władysław Broniewski:** O ptakach i tramwajach. Psie Pole — **Marian Piechal:** Leopold Staff jako tłumacz. — **Wacław Rogowicz:** Niedyskretne wspomnienia: Na co Blasco Ibanez czekał po śmierci? — **Anna Kowalska:** Na statku. — **Wilhelm Szewczyk:** Różdżko żywota — **Roman Bratny:** Kurs na „Toteżpolskę". — **Jan Pierzchała:** Księżyc. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka Ojca (8). — **Julian Stryjkowski:** Fogenewskie refleksje.—**Esther Berchgrevink:** Dawny i nowy teatr w Norwegii. — **Krystyna Kuliczkowska:** Obowiązki dyletantów. — **Artur M. Swinarski:** „Bankierzy ruin" w Warszawie. — Książki: Poezja („Wierszowadła z prostego kowadła" Adama Marca). Beletrystyka („Cervantes" Bruno Franca; „Życie Liszta" Guy de Pourtalesa). Dramat („Horyzont Afrodyty" Stefana Flukowskiego). — **Leonard Podhorski — Okołów:** Mickiewicz — S.M. Fuller D'Ossoli. — Film: **Jerzy Płażewski:** Oflag widziany przez gubernatora wyspy Jersey. — **Lucjan Wolanowski:** Filmy dokumentarne ONZ. — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: Imre Ungar. XXX koncert symfoniczny. — Camera Obscura. — Korespondencja **(Henryk Korotyński)** — 15 ilustracji. — 8 stron.

Od Administracji

Mimo podniesienia ceny poszczególnego numeru do zł 25, prenumerata miesięczna „Odrodzenia" wynosi — jak dotychczas — 80 zł

Notatnik muzyczny

Nowy statut Ministerstwa Kultury i Sztuki, XXXII koncert symfoniczny

Bardzo się mało pisze i dyskutuje o nowym statucie organizacyjnym Ministerstwa Kultury i Sztuki, uchwalonym niedawno przez Radę Ministrów.

Z komunikatu prasowego dowiedzieliśmy się, że zniesione zostały departamenty literatury, muzyki, teatru i plastyki. Nowa organizacja ministerstwa wprowadza „podział poziomy" w miejsce „pionowego". Sprawy należące do czterech wymienionych departamentów zostaną wchłonięte w tej nowej strukturze przez:

gabinet ministra, departament administracyjny, departament twórczości artystycznej, departament szkolnictwa artystycznego, departament przedsiębiorstw artystycznych i rozrywkowych, naczelną dyrekcję muzeów i ochrony zabytków, biuro współpracy kulturalnej z zagranicą, biuro dla spraw ruchu amatorskiego i biuro inspekcji i kontroli.

Wreszcie, nadzorowi ministerstwa podlegają: Film Polski, Państwowy Instytut Wydawniczy, Zjednoczone Zakłady Przemysłu Muzycznego. Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe i Państwowy Instytut Badania Sztuki Ludowej.

Wynika stąd, że np. całe szkolnictwo artystyczne podlegać będzie departamentowi szkolnictwa, a Filharmonia i biura koncertowe należeć będą do departamentu przedsiębiorstw, zamiast by—jak dotychczas—szkolnictwo, orkiestry, wydawnictwa, upowszechnienie i twórczość muzyczna podlegały departamentowi muzyki.

Pomijając już komplikacje tej przebudowy, ciekaw jestem, gdzie znajdziemy chociażby tylko urzędniczy personel, który w fachowy sposób obejmie zagadnienia, związane ze szkolnictwem wszystkich dziedzin artystycznych? Zresztą, nie zamierzam podnosić alarmu, zanim ta nowa organizacja nie zda egzaminu — o ile się go doczekamy, bo — po roku czy dwóch — może znowu wszystko się przeorganizuje inaczej? Szalenie lubimy zmieniać ramy. Eksperymentowanie jest pasją organizmów żywotnych. Nasza żywotność jest wspaniała, stąd zapewne brak cierpliwości i ciągłe ulepszanie czegoś, zanim poprzednia forma nie zdąży wykazać się rezultatami.

Minister Sokorski tłumaczył te zmiany w wywiadzie, udzielonym prasie. Mówił, że dotychczasowy podział uzasadniony w pierwszym okresie naszej państwowości — utrudniał rozstrzygnięcie wielu zasadniczych problemów, dotyczących upowszechnienia kultury artystycznej. Stąd zreformowano dotychczasowy podział resortów, prowadzących samodzielną i często oderwaną od siebie politykę artystyczną, na „departamenty zagadnieniowe, nastawione ofensywnie wobec zasadniczych problemów współczesnej polityki kulturalnej".

Sądziłem, że koordynacja prac dotychczasowych departamentów jest obowiązkiem i przywilejem ministra i wiceministrów. Lecz widocznie coś tu zawiodło i szuka się rady w reformie, w nowym statucie ministerstwa, od którego zależeć ma los naszej kultury. Przeważyły tu motywy, na których czoło wysunął minister Sokorski sprawę upowszechnienia sztuki.

W muzyce, upowszechnienie zacząć trzeba przede wszystkim od szkolnictwa, wydawnictw i sieci koncertowej, obsługującej wszystkie środowiska społeczne. Na to trzeba dużo artystów, bardzo dużo, tak dużo, żeby było dosyć personelu pedagogicznego, odtwórczego i twórczego, by stworzyć kadry i obsłużyć miliony odbiorców. Ministerstwo jest od tego, by to się stało rzeczywistością i aby potem teren odpowiednio nasycić.

Dopóki to nie nastąpi, wszystkie wysiłki będą tylko osiągnięciami cząstkowymi na skalę, która nie spełni celów i dążeń Polski Demokratycznej. Zobaczymy, czy obecna struktura ułatwi tę pracę czy też dawny departament muzyki nadawał się lepiej do objęcia całości spraw muzycznych. Zdania artystów i czynników miarodajnych są tu podzielone.

Francuski dyrygent, Jean Martinon zadyrygował bardzo pięknie Debussym (Popołudnie Fauna) i Rousselem (Bachus i Ariadna). Nasza orkiestra grała lekko i precyzyjnie. Nawet perkusja i blacha były lekkie i dawały przejrzyste „piano".

W II Symfonii Brahmsa lekkość ta stawała się prawie mozartowska, bez masywności, do której jesteśmy w Brahmsie przyzwyczajeni. I koncert fortepianowy (C-dur) Beethovena odegrała Regina Smendzianka. Jej gra upoważnia do coraz większych pochwał. Trudne largo z koncertu Beethovena odegrane było z muzykalnością, której pozazdrościć może Smendziance wielu bardzo „tęgich" pianistów.

P. S. W ostatnim „notatniku" nazwisko kompozytora Jana Krenza zostało wydrukowane trzykrotnie, z uporem godnym lepszej sprawy, „Kreuz", z przyczyn, których nie usiłuję tłumaczyć. Droga od rękopisu do druku jest pełna szpetnych dla czytelników, autora i jego ofiary — zasadzek.

Zygmunt Mycielski

FILM

»PANI MINIVER«

film produkcji amerykańskiej

A więc znowu film amerykański o wojnie. Ale tym razem bez bohaterek Pacyfiku, bez latających fortec, dżungli na Mindanao, portów zimnego Labradoru i w ogóle wszelakich Guamów. Rezygnując z egzotyki dalekich oceanów, amerykańscy producenci pokazali — Anglię. Anglię, Anno Domini 1939 i 1940. Ciekawe czemu?

Może to taki ukłon polityczny, synteza i apologia wysiłku wojennego brytyjskiego sprzymierzeńca? Może chęć zilustrowania nastrojów, zaszufladkowania pobudek, jakie skłoniły Zjednoczone Królestwo do wystąpienia o dwa lata wcześniej od kraju Rooseveltów i Babbitów? A może w końcu dążenie do pokazania agresji niemieckiej w całej jej grozie, która tak obca została do dziś mieszkańcom Nowego Swiata? A właśnie, że nie!

Przyznam to chętnie — byłem nieco zaskoczony i odrobinkę zażenowany bezceremonialnością Amerykanów, którzy pokazują nam losy takiego sobie typowego (jakoby!) angielskiego małżeństwa w pierwszym roku wojny. Radziecki eksperyment, dość analogiczny kiedy to pokazano nam, jak wyglądać miał polski partyzant kapitan Kłosowski, był nieprzyjemnie chybiony. Film angielski o podziemiu holenderskim (i zestrzelonych angielskich lotnikach) był również dostatecznie karykaturalny.

Rodzina Miniver ma uosabiać wszelakie cechy poczciwego mieszczaństwa chmurnej wyspy dostrzegane po tamtej stronie Wielkiej Wody. Scenariusz czyni z niej królika doświadczalnego, na którym reżyser Wyler demonstruje nam historię wojny.

Nazbierało się tego sporo: Miniver — syn wojuje w powietrzu z Messerschmidtami, Miniver-ojciec jedzie sportową motorówką przez Kanał, by ratować rozbitków Dunkierki, najmłodsi członkowie rodu dzielnie znoszą nocny nalot w schronie z falistej blachy, jadalnia rodzinnej willi zostaje zburzona przez bomby, zaś sama pani Miniver, w braku innych możliwości, rozbraja we własnej kuchni niemieckiego lotnika.

Akordem końcowym (co mamy reżyserowi za złe) jest śmierć młodziutkiej żony pilota Miniver. On, narażony co chwila na śmierć — żyje, ona, jak najdalsza sprawom orężnym — ginie. Ten końcowy kontrast jest albo niepotrzebny, albo źle wyzyskany. W pierwszym wypadku winien jest scenariusz, w drugim — montaż.

Życie człowieka poczciwego w tych niepoczciwych czasach jest w ogóle tematem pociągającym. W „Pani Miniver" nie brak momentów wysoce prawdziwych (takie oto pytanie: „Moja droga czy przyniesłi dziś bieliznę z prania?" pada w chwili, gdy państwo Miniver ze swego schronu obserwują gigantyczny nalot nocny na Londyn).

Anglicy, produkując u siebie podobny film, nie pokazaliby zapewne feudalnej hrabiny, która jest powodu ten Hitler się zbroi, skoro zdania (w sierpniu 1939) że nie bez tylu ludzi „pośledniejszego pochodzenia" zostaje adwokatami i inżynierami.

Urządzanie w trakcie Battle of Britain konkursów na najpiękniejszą różę było, być może, przyjemną ucieczką w krainę ułudy, kędy zapał tworzy cudy itd. Natomiast przeobrażenie duchowe sędziwej hrabiny, polegające na wycofaniu własnej róży na drugie miejsce, nie wyciśnie polskiemu widzowi łez z oczu. Jest papierowe, doskonale nieprzekonywające.

W sumie: film o bardzo niespokojnym scenariuszu, rozbieganym i chaotycznym, który ma dać obraz (nie daje) codziennego życia wojującej Anglii.

Greer Garson (pani Miniver) lepiej się czuła, swego czasu, jako mademoiselle Skłodowska.

Jerzy Płażewski

SPROSTOWANIE

W nr. 22 „Odrodzenia" nie podano, że opowiadanie Anny Kowalskiej „Na statku" ilustrował Marek Rudnicki.

LOUIS JOUVET W WARSZAWIE

rys. *Marek Rudnicki*

Znakomity reżyser i aktor francuski, Louis Jouvet, odwiedził Polskę ze swoim zespołem, wystawiając sztukę Moliera „Szkoła żon" we własnej inscenizacji

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE ADOLFA DYMSZY

Do redaktora „Odrodzenia"

Jeden z najwybitniejszych artystów polskich, Adolf Dymsza, został całkowicie i definitywnie oczyszczony z niesłusznych zarzutów rozgłaszanych w nieznanej nam bliżej intencji. Oczyszczenie imienia nie naprawia jeszcze wielkiej krzywdy, jaką wyrządzono artyście. W chaotycznej gospodarce talentami, która tłumaczy się pierwszym przejściowym okresem życia kulturalnego w odrodzonym kraju, los Adolfa Dymszy wydaje nam się szczególnie bolesnym przykładem marnotrawienia najlepszych wartości. Takie może posiadać artysta sceniczny. Ceniąc niezmiernie wielki ludowy artyzm Adolfa Dymszy, chcielibyśmy go widzieć nareszcie na wielkiej scenie jako odtwórcę humoru Szekspira i Moliera, Gogola i Fredry, i jesteśmy przekonani, że wyrażamy tym opinię wszystkich miłośników wielkiego repertuaru.

Kazimierz Brandys, Jan Brzechwa, Stanisław Dygat, Paweł Hertz, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk, Juliusz Żuławski.

· CZYTELNIK ·

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

POD BLACHĄ

Powieść z końca XVIII wieku. Oprac. prof. Hahn W.

Subtelnie odtworzone dzieje romantycznej, nieszczęśliwej miłości pięknej szambelanówny do księcia Józefa.
Na tle obyczajowym Warszawy z końca XVIII wieku wskrzesza autor korowód żywych, plastycznych postaci staropolskich i sfrancuziałych sylwetek rozbawionego towarzystwa spod Blachy.
Uczuciowy stosunek autora do postaci księcia przejawia się w wyidealizowanym w powieści portrecie największego galanta i narodowego bohatera, w rehabilitacji najlekomyślniejszego okresu jego życia.

2 tomy
zł 320

ZOFIA KOSSAK

NIEZNANY KRAJ

Opowiadania

To cały Śląsk przez wieki walczący z zalewającą go falą germanizacji, to pomnik wdzięczności wystawiony najlepszym jego synom. Z perspektywy dnia dzisiejszego głęboko wzruszają zarówno wysiłki książąt śląskich, dążących do utrwalenia granicy na Odrze, jak walka zakonnic polskich o prawo do macierzystego języka, a przede wszystkim ofiarna praca wybitnych działaczy śląskich nad zachowaniem i budzeniem poczucia narodowego.

Str 181
zł 300

IRENA KRZYWICKA

DZIECI WŚRÓD NOCY

Wojenne koleje polskich dzieci, które po stracie rodziców żyją samodzielnie i wykazują niezwykłą zaradność, po ysłowość, odwagę. Dzielna trójka potrafiła nie tylko przetrwać ciężki okres okupacyjny, ale uratowała od śmierci nieszczęśliwe, tropione przez Niemców dziecko żydowskie.

Str 179
zł 270

STEFAN ŻEROMSKI

WIERNA RZEKA

Klechda

Wątek romansowy tej znanej powieści wielkiego pisarza stanowi porywające, głębokie uczucie pięknej i ubogiej szlachcianki do uratowanego przez nią od śmierci księcia-powstańca z 63 r.
Przyczynę dramatycznego epilogu historii miłosnej i narodowej widzi autor we wspólnym źródle: niesprawiedliwości społecznej tego okresu.

Str 151
zł 200

STEFAN ŻEROMSKI

PROMIEŃ

Pasja społeczna autora znalazła w powieści tej wyraz z jednej strony — w charakterze bohatera dziennikarza, wytrwale, pomimo tragedii osobistej, walczącego o wysoki poziom ideowy swego pisma, z drugiej zaś strony — w sarkastycznym ujęciu małomieszczańskich typów i zatęchłej atmosfery prowincjonalnego miasta.

Str 179
zł 270

ALEKSY TOŁSTOJ

PIOTR I

Najcenniejsza powieść historyczna z czasów panowania Piotra Wielkiego, który przemienił zacofany kraj w potężne, nowoczesne państwo.
Na tle wszechstronnie odmalowanych stosunków społecznych i gospodarczych Rosji kreśli autor obraz wielkiego monarchy organizatora, oraz maluje szereg postaci historycznych.
Powieść przykuwa uwagę czytelnika sensacyjnymi motywami intryg dworskich, olśniewa bogactwem opisów batalistycznych i życia obyczajowego wszystkich warstw społecznych.

3 tomy
zł 1380

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiednie, kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

ZAWIŁY PROCES

Nr 9-ty „Przyjaciółki" poucza nas w rubryce „Uniwersytet domowy":

W Europie zaczęło wyrabiać papier dopiero około 500 lat temu. Najpierw używano do tego szmat, z których i dziś jeszcze otrzymujemy gorsze gatunki papieru.

Papier lepszego gatunku wyrabiany jest z drewna. Długa droga po przez wiele maszyn prowadzi od twardego pnia do cienkiej kartki papieru. Wprost trudno w to uwierzyć, że ojcem cienkiej bibułki jest twardy pień drzewny.

Tym trudniej uwierzyć, gdy skądinąd wiemy, że lepsze gatunki papieru, tak zwany papier bezdrzewny, wyrabia się właśnie ze szmat, a gorszy — z drewna. Istnieje także sposób przerabiania drewna na szmaty. Naprzód przerabia się drewno na papier gazetowy, potem zadrukowuje się czysty papier głupstwami i szmata gotowa.

ZAWÓL

Nie ma chyba czytelnika, którego by nie zainteresowała historia roku 1948 w Polsce, w źródłowym opracowaniu Stefana Kieniewicza. Z wielką też radością przeczytaliśmy poniższą notatkę księgarską w numerze 20 „Nowin Literackich":

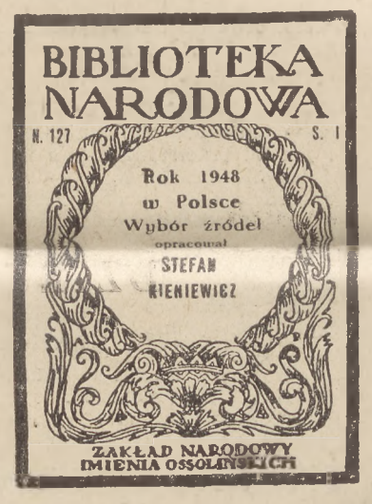

Czym prędzej kupiliśmy książkę i — o konsternacjo! — nie znaleźliśmy w źródłach do roku 1948 ani essayów społeczno-literackich E. Csato, ani wypowiedzi St. R. Dobrowolskiego, kazań W. Majdańskiego, słowem nic z tego, co kształtuje naszą epokę i wyciska swoje piętno na każdym z nas. „Rok 1948" okazał się zwykłym błędem korektorskim.

MŁODY POETA

W podręczniku: „Drogi i rozdroża", Tom II. dla III-ciej gimn. czytamy:

Verlaine Paweł (1884 — 1896), poeta francuski. Ogłosił m. in. Mądrość (1881), Przeklęci poeci (1884), Romance bez słów (1887), Wyznania (1895), Inwektywy (1896).

Wielkie było zdziwienie w domu Verlainów, kiedy pamiętnego roku 1884 przyszło na świat niemowlę płci męskiej, dzierżące w drobnej rączce „Przeklętych poetów". — To drobiazg — wyjaśnił noworodek — trzy lata temu wydałem „Mądrość", obie książki w Spółdzielni Wydawniczej „Niebo".

KOPEĆ REALIZMU

W powieści W. Żukrowskiego, drukowanej w „Odrodzeniu") znajdujemy taki obraz:

Już miała wejść do łóżka, kiedy nagle postawiła lampę na ziemi, wpuściła światło pod koszulę wzdętą jasnym dzwonem. Zajrzała sobie między pełne piersi, ciepły kopeć bił ją w poczerwieniałą twarz. Zapuściła wreszcie rękę głęboko i złapała pchłę.

Wykluczone! Prosimy Żukrowskiego o empiryczne sprawdzenie tego, co napisał. Przekona się, że wspomniany kopeć nie uderzyłby od razu w poczerwieniałą twarz, lecz poparzyłby przedtem brzuch i wspomniane piersi nieszczęsnej kobiety. Jak na realistę, Żukrowski źle podpatrzył.

BIGOS

W rubryce: „Między nami kobietami", nr 90/1038 „Dziennika Zachodniego" czytamy:

Kurs sprzedawczyń w Warszawie

Statystyki wyższych uczelni wykazują rosnącą stale liczbę kobiet na wydziałach stanowiących do niedawna wyłączną domenę mężczyzn. Charakterystyczny ten objaw notują różne kraje. Tak np. w Czechosłowacji, na wydziale budowy maszyn i elektrotechnicznym praskiej politechniki studiuje 36 kobiet, na architekturze — 50, budowę dróg i mostów — 18.

Na ogólną liczbę 11.000 kobiet, uczęszczających do wyższych uczelni czechosłowackich, 700 studentek przypada na wydziały polityczno - społeczne, 1.100 na prawo, 1.755 na medycynę, a najwięcej, bo aż 2.401 studentek na filozofię. (cz)

i nieco niżej:

Niezwykła matka

W ośrodku Szkolenia Zawodowego w Warszawie odbywa się obecnie miesięczny kurs sprzedawczyń, w którym bierze udział 64 słuchaczki. Po skończeniu kursu wszystkie słuchaczki obejmą pracę w Powszechnych Domach Towarowych. Program kursu obejmuje obok przedmiotów zawodowych również i wiadomości ogólne. (hm).

wreszcie:

Będzie dużo filozofek

Amerykanka, Mary Lopez, zamieszkała w miejscowości Warenham, w stanie Massachusetts, urodziła w tych dniach po raz czwarty bliźnięta. Jej pierwsze dzieci przyszły na świat zaledwie przed pięciu laty. Mary Lopez ma 26 lat i jest żoną prostego robotnika. W niecałe sześć lat po ślubie, stała się matką ośmiorga dzieci. (cz)

Wzorem innych pism ogłaszamy: „Błyskawiczny Konkurs" pt.: „Tytuły i artykuły!"

KUŚMIDROWICZ

W „Dzienniku Bałtyckim" czytamy:

Na miejsca... gotowi.

Na głos startera dnia drugiego maja godz. 12 min. 15, staną, na miejsca... gotowi... do startu biegacze. Nastąpi chwila, kiedy tysiące polskich dziewczyn i chłopaków poczuje się jak precyzyjnie wyregulowany mechanizm, w którym współdziałanie czynników fizycznych i psychicznych spowoduje, jak w idealnie skonstruowanym karabinie tzw. „odpalenie".

Narodowy Bieg na przełaj będzie potężnym głosem Wybrzeża w dniu 2-go maja. Szerokim echem po Polsce rozpłynie się ten głos i zwiąże młodzież całą we wspólny rytm...

Z takim wewnętrznym nakazem, nie przymuszeni, staniemy na starcie drugiego maja. Zapoczątkujemy nowy okres zdobyczy, składających się na kulturę materialną, fizyczną i duchową w imię harmonii cielesnej i duchowej, tych dziedzin, które w powiązaniu stanowią istotę doktryny wychowawczej i wykładnik tezy: „W zdrowym ciele zdrowy duch".

Niech nikt się nie starzeje bo „ten tylko doskonałym nazwać się może, kto w czerstwym i kształtnym ciele czyste nosi serce i niepokalaną ma duszę".

Na start drugiego maja!

Dyrektor Wojew. Urzędu Kultury Fizycznej — Gdańsk
M. Kuśmidrowicz

Zamieszczając elaborat ob. Kuśmidrowicza w dziale „Camera Obscura" spowodowaliśmy, jak w idealnie skonstruowanym karabinie, tzw. „odpalenie"!

OŚLA ŁĄKA

W numerze 20 „Muchy" znajdujemy następujący dowcip:

Szkoda, że autor rysunku nie lepiej zna łacinę niż ci, których gani za nieuctwo. Klucznik niebios nie mógł powiedzieć: „Salve Fratres", co oznacza „Witaj bracia"; jeżeli demokracja dotarła już do Królestwa Niebieskiego, to powiedział najpewniej: „Salvete frater" — „Witajcie bracie!".

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B—52812 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"